

**LIRYKA NIEMIECKA**

**BIBLIOTEKA  
KAMENY  
№ 5**

- № 1 SERGJUSZ JESIENIN: Wybór poezyj,  
przełożył K. A. Jaworski. R. 1931.
- № 2 ALEKSANDER BŁOK: Ogród słowiczy  
i inne poezje, społ. K. A. Jaworski.  
Cztery linoryty Z. Waśniewskiego.  
R. 1934 (wyczerpane).
- № 3 SERGJUSZ JESIENIN: Spowiedź chuligana  
i inne poezje, spolszczył K. A. Jaworski.  
Dziesięć linorytów Z. Waśniewskiego.  
R. 1935 (na wyczerpaniu).
- № 4 ALEKSANDER BŁOK: Wiersze włoskie,  
spolszczyli K. A. Jaworski i J. Łobodowski.  
Pięć linorytów Z. Waśniewskiego r. 1935.

**STEFAN NAPIERSKI**

# **LIRYKA NIEMIECKA**

## **I**

**BIBLIOTEKA KAMENY**

**1936**

193  
36

39674  
II

Księg. Katolicka Katowice 6. II 36

421

Odbito w ilości 400 egzemplarzy.  
Drukarnia „Kultura” w Chełmie Lubelskim.



FERDINAND AVENARIUS



## N O C   B Y Ł A

Głęboko w mroku duszy naszej ryje  
nieznany nam, drapieżny dziki bies.  
Bywa, znienacka tułów rozprostuje,  
naszego świata słonecznego dno  
maca pociemku, wstrząsa kolumnami  
i łeb ognisty wystawia przez szparę.  
Ale się kurczy, światłem dnia oślepion,  
i znów opada w siebie, niepobity.  
Noc była. W długiej i dusznej komnacie  
stałem, gdzie umierano. Schryple jęki,  
rzężenia jeno słysząc. Pasma sine  
przez okiennice rzucał drwiący księżyc  
długim szeregiem poza cień pilastrów.  
Te ukrywały łoża: były ciemne,  
rozpoznawalne przez palców dotknięcie.  
Schylony blisko, nagle się zatrząśłem  
oblędnym śmiechem — oplątany w całun,  
bielejąc, wystąpiłem z gęstych mroków  
w światło jaskrawe, w nadto widny poblask,  
i, jak duch śmierci, skinąłem ku chorym.  
Wrzask rozdarł wargi, ów wstecz się odrzucił,  
a tamten w febrze drgał, dreszczem agonji  
miotany, czkając. I tak umierali.  
A ja przez ciemność zwolna się skradałem,  
na czoła kładąc dłoń, aktor nikczemny,  
czekając skurczu ust, wzbicia się jęku.

I znów stąpałem. Oni, wrzeszcząc, marli.  
Aż wreszcie z krtani zdławionej mej runął  
krzyk ponad wszystkie — to wrzeszczało piekło.  
Wtedy zbudziłem się w szczebiocie ptaków.



GOTTFRIED BENN



## P I E Ś Ń

O, być nam, jako dawni praojcowie,  
Garsteczką błota na ciepłym bagnisku.  
By śmierć i życie w tajemniczej znowie,  
Płód i płodzenie ze soków wytrysku  
Spłynęły nieme. Bo kto to wypowie?  
Liść drobny, piasek ów na usypisku,  
Wszystko, co ciąży wdół, i przez powiewy  
Wiatru, jak podmuch, jest ukształtowane:  
Ach! główka łątki, szare skrzydło mewy  
Za wielkie, nadto już męką wezbrane.

## STRUGI GODZIN

Strugi godzin, pradawne przypiływy,  
widnokregi, jak zabójcze są,  
płaskie pasma, klechdy, piany grzywy,  
z den głębinnych, gdzie wsącza się prąd.

Gdzie w rozblaskach zabłąkane bory  
ku rozpękłym wylomom wzgórz  
wieją, niemych marmurów chóry,  
jak lwy, depcąc murawy róż.

Ku triumfom rozmiażdżona skała,  
pod mchów mrokiem, mokrych winnych gron,  
kaskadami ryjąc, gdzie padała  
w gruz i zgon.

Roztrącone w rezygnacji chmurnej  
żyły kruszców, zgniecione napłask,  
z wyszczerbionej dni zgrzybiałych urny  
chłoną blask.

Mroczne znaki, pełne przemijania,  
omgle lśniących w przeblyskach ocz,  
nocą tropisz, w kopule się słania  
dygot obcych gwiazd zza obcych tucz.

Lecz za niemi, nieme i rozdarte,  
głuche gleby, gdzie wsącza się prąd,  
ciemne morza, nagie, jak Astarte,  
i niebiosą, co zabójcze są.

#### DOPIERO GDY

Nie oliwkowe gaje,  
ni płochość tyreńskich fal,  
w legendy wiodą kraje:  
dachy rdzawe, jak stal,  
grody głuszą spalone,  
gruzami gniotą nas,  
niwy nadto zielone,  
zbyt białą pała głaz.

Wyschły winą, z cysterny  
nie rozlega się chlust,  
pokruszone w proch hermy,  
spękana szpara ust,  
któżby z piaszczystej studni  
zdrój chłodny drążyć mógł,  
o, gdzież błogość południ,  
szczęśliwości łuk?

Marmurowe ruiny,  
nad gruzem głuchy tryl,  
bluszcz żłobi koleiny  
przez mury mrocznych will,  
dopiero gdy u progu  
strun spiętych poświst pękł,  
w melodję mieni srogą  
wargi szczęśliwej jęk.

### KU GWIAZDOM PATRZ

Ku gwiazdom patrz, na krzewy,  
w blasku gasnące już,  
pastuchów jakich śpiewy,  
zza mrocznych zwiane mórz,  
ty, rozłączony z ziemią,  
myśli złamawszy moc,  
wdół kroczy stopniami niemo,  
gdzie przodem wiedzie noc.

Z ciemności kroczy, zza progu,  
łupiny krusząc słów,  
mity zburzywszy, bogów  
zgrai nie spotkasz znów,  
wzniosły się nie przechyla  
tron, smukły klin, ni nóż —  
rozlej, woju Achilla,  
wino żałobne z kruż.

Jako zwie się godzina,  
bytu męka i łyzy,  
wszystko w płynięciu wina  
kwitnie, uchodząc w sny,  
ciekną głucho eony,

w oddal zanika brzeg —  
w srobie uwieńcz korony  
noce po wieków wiek.

## I T O B I E

I tobie: — noc tajemnicą  
w mroczne osnuła się sny,  
Psyche, płynna prawico,  
niepowstrzymana przez łyzy,  
ach! ponad siły i miarę  
płonie boleści twej blask,  
ofiarną wytrząśnij czarę  
i zagaś ogni trzask.

Spełnione. Kłoń się głęboko,  
z gwiezdnych ugodzon proc;  
ach! zawierzywszy mrokom,  
wino uchodzi i noc,  
choć płomień wzbija się rączy  
nad wargi, dłonie i łyzy,  
ale snów naszych dokończyć  
nie potrafimy my.

Jeno noce nad lico  
w rżenie zwieszone tchnień,  
Psyche, płynna prawico,  
w czarny wlokąca nas cień,  
ach! ponad siły i miarę,  
ach! niedość nigdy nam,  
w płomień wytrząśnij czarę,  
ofiarnych winnic dzban.

RUDOLF G. BINDING





## G A Ś N I Ę C I E

Kto ciemność zadławi, nim uśnie,  
Ów jeno swym nocom podoła,  
Kogo ciemność gęstsza nie muśnie,  
Jakże dźwignie mroki Anioła?

Ten ciężar nad siły jak piasku  
Garsteczkę gruchoce mój dom.  
Och, wszystko jest lżejsze w poblasku.  
Lecz lekkość przybliża nas snom.

## LŚNIENIE JESIENNE

Piękniej kłamstwo olśniewa.  
Poblask śmierci pokrewny.  
Znużonym lotem nad drzewa  
Dygoce motyl niepewny.

Sztylety światła błędzące.  
Srebrne więzy na wietrze.  
Perły zamierające.  
Obłudnie wonne powietrze.

Blakną i szumią purpury.  
Blednie dywan złocisty.  
Zwierzęta wklęte w lazury.  
Krajobraz uśpiony i czysty.

Gdzie blaskiem kryte, się mieni  
Życie w mroczny swój kraniec,  
Stąpamy, jasno olśnieni,  
Skąd dziwny wabi nas taniec.

Śmiertelną fletnią wzywani,  
Za szumem, co sny nam nawiewa,  
Ku chleba słodczy rozśmiani,  
Owoce strącając z drzewa.

## ŁUK MIŁOŚCI

Czyli trwała, przez nas niezbudzona,  
Miłość nasza w nieprzespanym śnie?  
Trwożny byłem, ty onieśmielona,  
Błogo błędząc, dygocąc przez dnie.

Wędrowały gwiazdy w strome noce  
Ku ściszonym górcom obok nas.  
Wonie, świerszcze grające, owoce,  
Nad oczami spływający czas.

Cóż milczącym wargi spoić wzbrania?  
Wieczność jedną wydzieliła z chwil.  
Przemieszały się w lęku wyznania,  
Przeszywane przez ptaszęcy tryl.

Jak ugodzon śmiertelnie, za dłoń  
Pochwyciłem cię, ze szczęścia niema --  
Zanim gwiazdy błędące twą skroń  
Uwieńczyły wraz z zbudzoną ziemią.

## S E N

Oto usypiasz poza wielkimi wrotami świata,  
Wędrując po twym jedynym, po raju twoim pradawnym,  
Na srebrnych przystajesz łąkach, gdzie łanie trawę szczypią,  
Między lwami koczując, na błękitnych pustyniach.

Jednorożec zdziwiony z kniei zbliża podchodzi,  
Zaczarowane łabędzie skrzydłem spokojnem wieją.  
Obok sfinksów zasiadłeś, zadumany jak one,  
Kostki zanurzasz w ruczaju na skraju wszechrzeczy.

Słodkie pęta oddechu, one jedną wstrzymują  
Od śmierci leciutko ciebie. — Gdyby się zdarły,  
Jużbyś nie wrócił nigdy. Jakże ciebie powstrzymać,  
Iżbyś nie zbudził się błogo ku tamtemu brzegowi?

Saren ubić nie zdołam na twych srebrzystych polanach,  
Sfinksów zepchnąć w ocean, ni odczarować łabędzi.  
Żrenicy jednorożca nie mogę odwrócić od ciebie,  
Zdroju wszechrzeczy ujarzmić, co opluskuje ci stopy.



HANS CAROSSA



## STARA STUDZIENKA

Zgaś świecę twoją, śpij! Jasne pluskanie  
Starej studzienki, zawsze czujne, brzmi.  
Pod dachem moim twarde jest posłanie,  
Lecz do melodji przywyka się. Śnij.  
Choć się wydarzyć może, gdy w głęboki  
Sen runiesz, lekko uchyliwszy ust,  
Że cię przebudzą z chrzęstem twarde kroki  
I nagle, w lęku, zatrzyma się plusk.  
Jeśli się ockniesz—nie poddaj się trwodze,  
Tu gwiazdy widne wieńczą twoją skroń,  
A tam wędrowiec przystanął na drodze,  
Z cysterny czerpiąc w wydrążoną dłoń.  
Wyruszy wkrótce. I znów poszum tryska.  
Tyś nie samotny. Radość w gwiazdach drga,  
Że wielu zmierza ku tobie, i bliska  
Jest dla wędrowców mroczna droga twa.

## P R A M A T K A

Znów wychyń z gęstwiny twej,  
Srebrzysta zjawo południa!  
Wśród zboża wszyscy tam są,  
Wszystko jak było tak jest.

Turkawki na dachu gruchają  
W szeregach słodkiej purpury.

Kwiaty błękitne, jak wiew,  
Kołyszą się wokół bram.

Przemów do drzewa młodego!  
U szepczącego ruczaju,  
Tuż koło okiennych ram,  
Obok pająka świętego,

Do izby śmiertelnej skocz!  
Nie myśl o bólu zbutwiałym!  
Spójrz, gdzie konałeś w westchnieniach,  
Oddycha dziecko niewinne...

O, jakże dyszy spokojnie  
W najłżejszym rumianym śnie!  
Porusza rączkami, dotyka  
Pluskania źródła bliskiego...

Szczęściem powietrzniem nań spłyń!  
Pojone snem oczy rozwiera.  
I mruga przez ciebie ku dniom.  
W uśmiechu na nowo — usypia...

Do węża w sieni się zbliż,  
Mleko mu w niecce podają.  
Wypełza zwolna na słońce.  
W dawnej przeczuwa cię trwodze.

I wije w ukryty się ślad,  
W głąb ziemi, w mroki i gruz.  
Pod głazem leży drażonym  
Skarb, który w ciemność zaryłaś.

Daleki przejrzałaś czas.  
Ruinę wieszcząc i skon.



Czuwałaś wiernie przez lata.  
A żmija wie o tem, wie.

Na skarbcu legła, ciężarna.  
Oplata go w każdą noc  
W pierścienie silne czarami.  
Złota przewala się brzęk.



MAX DAUTHENDEY



\* \*  
\*

W moje oczy — popiół prószy,  
Zlepione na brzmienia uszy,  
Wichrze, głązy, o! drzewa,  
Wasza mowa nie śpiewa,  
Na ziemi słyszę i niebie  
Zdziczałego, głodnego siebie.

\* \*  
\*

Patrzałem w ogród, różę ujrzałem w płomieniach,  
W dłoni ją odczuwałem daleką, jak miłość.  
Wargi jęczą na wargach, a róże nie więdną,  
wirydarz krwawo śmieje się, jak twoje usta.  
Dnie i noce — zaledwo powiewem wachlarza,  
a rok przebrzmiewa nagle, jak pianie kogucie.  
Tak żyję, tak umieram z powieką zawartą.

\* \*  
\*

Oczarowały noce letnie  
świerszcze i słysząc dyszkantu fletnię,  
spłątane tony, guseł formuły.  
Piłują korzeń, tną korzeń czuły,  
myśli zaplotły w lubieżną pletnię.

Skrzypią na skrzypcach po srebrnym dachu,  
W przywidzeń roju, w słodkim przestrachu,  
Łamią przysięgi, kłątwy niweczą,  
Wokoło wiodą, — i przeczą, przeczą.

\* \* \*

Czerw drzewa zwiędłe toczy,  
Deszcz liście zżarte pieści.  
Zapomniały mnie oczy,  
Nie umarłem z boleści.

Szkielety sterczą suche,  
Jak krzyże. Gdzie ich ojczyzna?  
Zwiało szczęście podmuchem.  
Że konam, jak ci wyznać?

THEODOR DAÜBLER





## S E K R E T

Pełnia księżycyca poprzez stopnie strome  
Szybko się wspina nad gałęzie drzew,  
Jak zwierzę martwe zwisa ponad domem:  
Czyj ptak? I pióro? Czyja srebrna krew?

I oto luna łagodnie się toczy  
Nad tynkowane białe twarze ludzi.  
Błysną robaczki, jak uśpione oczy,  
I woń jaśminów ku śmierci nie zbudzi.

Aż znów w wiejących krzewach krzyknie zwierzę,  
Schrypnięte strasznie. Teraz jeno wiew  
I księżyc wraca na pradawne leże,  
Usypia w gaju posrebrzany krzew.

Jako ptak ongi wzbił się lekkopióry,  
Wysłannik, który koi wszelki żal!  
Gołębie białe opadły z wichury:  
Nie wróci w Boga dłonie. Kona w dal.



STEFAN GEORGE



\* \*  
\*

Łaskawi, jako książęta, jak oni, wżgardliwi,  
I którzy światy dźwigamy z pordzewiałych zawiasów,  
Czuwać-że mamy, schorzali, zgonu znużeniem szczęśliwi,  
Z wiedzą, że brak najwyższego nam w zamęcie czasów—

Że, miłości przysięgli i wierni kapłani,  
Poszukiwać musimy jej w ukrytym szlochu,  
Oczami, które płomień wydrąża i rani —  
A, gdy wreszcie posiadam skarb, strzeżony w lochu,

Iż on, ledwie uwieńczon, uczczony, zaznany,  
Wyblakły i skruszony, już zmysłom ucieka...  
A wszystkie bóstwa nasze — to cienie i piany!  
Wiem: serce zamrzeć może, które krwią ocieka,

Gdy słów nie zazna, co je uciszą w rozpacz:  
Každy obraz, budzący popłoch lub błaganie,  
Przez was tylko jest wielki, przez was jeno znaczy...  
Lustro bóstwa jest trwalsze, niż strugi szlochanie.

\* \*  
\*

Duch twój, gdy dzisiaj w rok owy się chyli,  
Pojąć nie może śródgwiezdnych przestrzeni,  
Jakie dzieliły cię od ludzkich cieni.  
Zdumienie czoło skłania k'tamtej chwili:

Kiedyś budował dla runa świątnice,  
Przewyższające błady przepych ziemi,  
I urzeczony ciszą był port niemy  
I złoty kolor snów, jak błyskawice;

Przez skalne piargi wonczas, ścieżką znaną,  
Owocorodne zawiodło cię lato,  
Stoki darzyły uśmiechu zapłatą  
I przybysz w zjawach miał duszę skąpaną.

Otóż i łąka w aksamitach cała  
I zwisające złoto-płodne kłosy,  
Dzwonienie sierpów i żniwiarzów głosy...  
Ziemia cię woła, która nas wydała.

\* \* \*

Miłość godnym nie nazwie, komu zabraknie uśmiechu --  
Przetrwa jeno w udrękach, jeśli na zawsze ujrzała,  
Trwoni klejnoty i skarby, za które niema podzięk, i  
I błogosławi, gdy siebie sama spopiela ofiarą.

Miły! Jakkolwiekby było: twoja ścieżka ku szczęściu,  
Którą znasz jeno ty jeden, przez me zbliżenie ściemniona.  
Tedy odrywam się w ranach: niech nie zamąci cię nigdy  
Los, co naprzekór życzeniu nadto łatwo się zdradza.

Czuły! I więcej ponad to: iżby przenigdy westchnienie  
Wdzięcznej twojej igraszki nie zamąciło, — wygnanym  
I, podwójnie cierpiący, żegnam, tedy strapienie  
Ze mną tylko wciąż gada i z tą ubogą mą pieśnią.

## R O C Z N I C A

O, siostró, ujmij dzban z palonej gliny  
I wiedz mnie współ. Tyś nie zapomniła,  
Co, powtarzając kornie, snuły wargi.  
To dzisiaj siedem pór letnich przewiało,  
Kiedy, czerpiący ze studni, zmiłkliśmy:  
Jednego dnia nam umarł oblubieniec.  
Pozwól, ze strugi, kędy dwie topole  
Pospołu z jodłą stoją nad łęgami,  
Dzbanem z palonej gliny dźwigać wodę.

## L U T N I S T A

Kędziory zdobne w pierścień biały, szczupłe  
Ramiona w suty płaszcz, kiedy wystąpił  
Na próg i w struny uderzając lutni;  
Naprzód w złęknieniu dygocąc młodzieńczem:  
Surowych starców serce dławi w gardle.  
Jak na policzkach trwożną czerwień wznieca;  
Jak opadały do stóp schylonego  
W ukłonie nieuczonym bransolety,  
Naramienniki luźne z rąk: to wspomnieć.  
Dziewczęta pilnie między sobą gwarzą.  
W boleści niemej wszystkie pacholęta  
O bohaterze roją nocy gwiazdnych  
I odtąd w jawie czuwają, bezsenni.

## P O R T A N I G R A

Ingenio Alf: Scolari

Żem też się zbudzić musiał w waszym czasie,  
Którym znał przepych grodu Trevirianum,

Siostrzycy chwałę gdy dzieliła: Romy.  
Gdy wzrok płonący wielki legij szyki  
Pancernych widział. Kiedy na arenie  
Frankowie jaśni zadławiali lwy.  
Przed pałacami trombity — i bóstwo:  
August na złotej w purpurze kwadrydze!

Wśród willi lotnych ciekła tu Mozella...  
Jakiż upojny dźwięk przy winobranii!  
Dziewczęta niosły urny, drżące życiem --  
Ledwo te gruzy rozpoznałem. Szczątki  
Murów cesarskich oblizują mgły.  
Święte znamiona w trumnach zbeszczeszczone.  
Obok zaryte jamy barbarzyńców...  
Tylko się dźwiga brama, którą kochał!

W żałobnej krepie czasów, ale z pychą,  
Ze setek okien miota swą pogardę  
Na wasze nędzne lepianki (zerwijcie,  
Co nie przestaje z was szydzić!), na ludzi:  
Książąt, kapłanów, żołdaków jednakich,  
Na larwy wzdęte z zagasłem wejrzeniem,  
Niewiasty, które rabby nasz odtrącił —  
Cóż znaczą sprawy, które wy sławicie!

Najszlachetniejsze zatracono: krew...  
My, cienie, silniej dyszymy! Żyjące  
Widma! śmieje się chłopiec Manlius...  
Potrząsać berłem nad wami nie pragnie,  
Ów, co najniższym parał się zarobkiem,  
Którego nazwać się lękacie, — szedłem,  
Namaszczon olejkami, wokół bramy,  
Noc sprzedający najemcom Cezarów!



JULIUS HART



\*       \*  
\*       \*

Lśniąc w luny się kołyszę  
noc przepełniającym blasku,  
jako smuga widna spływam  
w różowawym gwiazd pobrzasku.

Przestwórz cały, wszystkie głębie  
krew pobladła ma przepływa,  
rozpleniona nad światami  
leży dusza moja żywa.

Tak się poję i tak piję  
był wszelaki, złudę wszelką,  
z plejad zielonkawej czaszy  
cierpką sączę się kropelką.

Wszystek był na dno me spływa,  
sam przemieniam się w płynienie,  
rozpleniony i pleniący,  
pełen pustki, jak przestrzenie.

W świetle sunę księżycowem,  
piję, spływam w zimnym dreszczu,  
tchniesz wargami, dech pochwycisz  
ulewnego z srebra deszczu.



FRYDERYK HEBBEL



## WAWRZYN WOKÓŁ CZOŁA

Wawrzyn, co nigdy nie więdnie w puklach szybko blednących!  
Jakiż to obraz potężny ludzkiej wielkości i mocy!

## W I E C Z Ó R

Każdy wieczór mnie wzrusza, jakby ostatnim był z wszystkich,  
Który po walce bez końca spoczynek wieczny zwiastuje.

## S E N

Wszystko nam mieni się w rozkosz, tak pięknie okrągli się życie  
I nawet zgon, bowiem usnąć pocieszającą jest śmiercią.

## DO CZŁOWIEKA

Ostrej nie pragnij żrenicy, albowiem, kiedy umarłych  
W ziemi dojrzysz nareszcie, kwiatów oglądać nie będziesz!

## ZAGADKI BOGA

Dzieci, te Boga zagadki, rozwiązać je trudniej, niż wszystkie,  
To się miłości udaje, gdy sama sobą owładnie.

## SEN JAKO PROROK

Co się wydarzy tobie, skąd miałby sen to zwiastować?  
Co uczynisz, to raczej senne rojenie wywróży.

## POEZJA FORM

Co już w kształtach spoczywa, to nie sobie przypisuj:  
W instrumencie skończonym i dzieci obudzą brzmienie.

## PRZED PŁÓTNEM REMBRANDTA

Srogie, olbrzymie rysy, wybuchające z ciemności,  
Jakby nagle noc sama przemówiła obliczem.

## OBRONA POEZJI

Z luster lustro kłecicie? Tedy czemu z obrazów  
Wiersze wasze? Sam w sobie każdy wiersz jest obrazem!

## DO TRAGIKA

Chwyć człowieka, tragedjo, w owej wyniosłej godzinie,  
Gdy go ziemia odtrąca, bowiem zapada się w gwiazdy,  
Gdy prawo, przez które istnieje, po zmaganiu potężnem  
Wyższemu wreszcie ustąpi, które włada światami;  
Wszakże punkt owy uchwycić, gdy jeszcze się obaj zmagają,  
By przypominał motyla, co się z poczwarki wykrada.



## KU PAMIĘCI

Bóstwom dziękuj, człowieku, gdy to, o coś walczył porankiem  
Na życie własne i śmierć, nie zmiażdży ciebie z wieczora.

## ŻYCZENIE DAREMNE

Niewybaczalne jest jedno: nie potęguje się życie,  
Że się chwila najwyższa zazwyczaj w drobniejszą umniejsza.  
Są, co pomrą z radości, czemu nie wszyscy? Piękniejszych  
Nie odnajdziesz płomieni, by nas odmłodzić, naturo!



MAX HERMANN - NEISSE



## PIOSNKA Z WIECZORA

Kosy ściecha brzęczą,  
w progu pragną śnić.  
Siwą wiąże tęczę —  
ściany białe nić.

Spójrz: cieniste sienie,  
mleko, czerstwy chleb.  
Wspina się westchnienie  
Na rumianość nieb.

Pierś oddycha śniada,  
już jej płaczu dość.  
Po schodach się skrada  
wiekuisty gość.

Jaskółka podlata  
trwożnym lotem swym.  
W każde drzwi kołata  
marnotrawny syn.

## P R Z E D M I O T Y

Właściwie wszelkie ustawić przedmioty:  
lampę na ganek, co ją kochać umie,  
nad morze alej, by w zielonym szumie  
psy ujadały poprzez odbłask złoty;

dzban, aby w ciemność móc sięgnąć poń skrycie,  
zegarek, by nas owiało cykanie!  
To wszystko znaki losu, co przez życie  
wiodą jak chmury nieoczekiwanie.

My gramy władców, ale rzeczy oto  
władają nami cierpliwą pokorą,  
do raju wespół z nami się wybiorą,  
stojąc na warcie uchylonym wrotom.

Pies znów się łasi radośnie, jak umie,  
stół pociemnieje, gdzieś swe wiersze składał,  
w altanie załśni blaskiem lampa biała,  
nad morzem krzewów, w zielonkawym szumie.

HERMAN HESSE





## W Y Z N A N I E

O, gdzie doszukać mi się dzisiaj druha?—  
Łańcuchy błędne żórawi na chmurach,  
rozbitki w czółnach, stada bez pastucha,  
noc, nieprzespany sen, czarna wichura.

Za mną, przy drodze, w zmierzchach toną  
ruiny świątyń, wirydarze  
zdziczałe, poza mgieł osłoną,  
niedokochanych kobiet twarze  
i fale, gdzie stąpałem, blady.

Zatarte liżą martwe ślady,  
i nie wie nikt, co tam spoczywa:  
diademy władców, z lauru wieńce,  
bluszcze, lub lira, lub pokrzywa?

Tak drzemią w melodyjnej męce  
i leją blaski w zgasłe noce,  
gdy nagle dłoń ma drga w pomroce  
i ryją w gruzach żywe ręce.  
O, celu! wyszczerbiłem dłóto,  
wróg minął moją studnię strutą,  
i wzdycha dusza, szczęścia chciwa.



HUGO v. HOFMANNSTHAL



## SĄ NAPEWNO...

Są napewno, którzy umrzeć muszą,  
Kędy galer wiosła ciężkie suną,  
Inni wgórze gnieźdzą się u steru,  
Znają ptaków lot i gwiazd krainy.

Leżą owi z ciężkimi członkami  
U korzeni splątanego życia,  
Innym karła są przystrojone  
U boku Sybil, królowych,  
I zasiedli tam, jak w domu własnym,  
Z myślą lekką, lekkimi dłońmi.

Ale mroczny cień z owego życia  
W życie tamtych pada bezustannie,  
I ci lekcy z owymi ciężkimi  
Są związani, jak powietrze z ziemią:

Znużeń szczepów zapomnianych zdawna  
Z powiek moich nie zdołam otrząsnąć,  
Ni oddzielić od duszy złęcznionej  
Opadania niemo gwiazd dalekich.

Mnóstwo losów własny mój osnuwa,  
Przędę supła, igrając, istnienie,  
Dział mój większy jest, niż życia tego  
Płomień smukły albo szczupła lira.

## PRZEŻYCIE

Srebrzysto-szarą wonią wypełniona  
była dolina zmierzchu, jakby księżyc  
przez chmury się przesiewał. Lecz nie była noc to.  
Wraz z szarosrebrną wonią tej doliny  
ciemnej, zmierzchając, myśli me spływały,  
i cichom tonąć począł w tem przedzającem,  
przezroczem morzu — opuszczałem życie.  
Jakżeż cudowne były tutaj kwiaty,  
płonące kielichami! Gąszcz roślinny,  
w które blask żółto-krwawy, jak z topazów,  
w strugach przenikał ciepłych, żarzył się. A całość  
sute, głębokie wypełniało tlenie  
smętnej muzyki. I otom ja wiedział,  
choć nie pojmuję, ale to wiedziałem:  
że to jest zgon. Przemienił się w muzykę,  
potężnie tęskniąc, słodki, ciemno-płonąc,  
krewny najgłębszej melancholji.

Dziwne!

Nostalgja bezimienna cicho łkała  
w duszy mej, pragnąc życia, łkała,  
jako ten szłocha, który na korabiu  
w żaglach olbrzymich, pożółkłych, zwieczora  
na toni modro-głębokiej swe miasto,  
miasto ojczyste mija. Tedy widzi  
zaułki, słyszy studzien szum i wdycha  
woń krzewów bzowych, postrzega sam siebie,  
jak stoi na wybrzeżu dzieckiem, z czułym wzrokiem,  
co jest złąkniony, płakać pragnie: widzi  
poprzez otwarte okno blask w swej izbie —  
lecz wielki korab unosi go dalej,  
po toni modrej, głębokiej, bez szmeru  
sunąc w pożółkłych, niepojętych żaglach.

## P R Z E D Ś W I T

Spoczywa oto na sinej krawędzi  
Niebiosów burza i drga nawałnica,  
Skulona w sobie, Oto chory дума:  
„Dzień! teraz będę spać!“ Gorące zwierza  
Powieki. Oto jałówka w oborze  
Wysuwa nozdrza ku woni poranku  
Chłodnej. Włóczęga oto w niemym lesie,  
Niemyty, dźwiga się z posłania liści,  
Które szeleszczą, i zuchwałą dłonią  
Ciska głaz pierwszy lepszy, by ugodzić  
Turkawkę, ze snu ociężałym lotem  
Przelatującą, i w grozie zamiera,  
Gdy kamień głucho uderza i ciężko  
O ziemię. Oto bieży woda prędką,  
Jakgdyby śladem nocy, co pełzając,  
Odeszła, pragnąc runąć w mrok, chłodnawem  
Tchnieniem, tak sroga, obojętna, podczas  
Kiedy tam wdali Zbawiciel i Matka  
Cicho, cichutko rozprawiają sobie  
Na mostku: szeptem, a przecie ta drobna  
Rozmowa wiekuista, niezniszczalna  
Jest jako gwiazdy wdali. Krzyż swój dźwiga  
I mówi jeno: „Matko moja!“ patrząc  
W jej oczy, Ona: „Ach, mój Synu miły!“  
Odrzeka. — Oto niebiosa i ziemia  
Na nowo gadać poczynają nieme.  
Poczem dreszcz zbiega znów sterane ciało:  
Z westchnieniem dźwiga się przeżyć dzień nowy.  
A oto brzask widmowy wstaje. Oto  
Ktoś się wykrada, nie wzuwszy obuwia,  
Z łóża kobiety, jak cień biegnie, z okna,  
Jako złoczyńca, zeskakuje, cicho  
W pokoju własnym przwstaje — i widzi

W lustrze na ścianie siebie: nagłą trwogą  
Dygoce przed tym bladym, niedospanym,  
Okropnym cudzoziemcem, jakby ów to  
Tej nocy chłopca, którym był, nieznacznie  
Drgającą ręką zamordował, teraz  
Polewa z dzbanka palce, by je omyć,  
Z uśmieszkiem drwiny, a przeto niebiosą  
Tak są znacząco-oniemiałe, wszystko  
Tak dziwne na powietrzu szarem. Oto  
Skrzypią stajenne drzwi, I oto dzień jest.

## PRZESŁANIE

Wreszcie zadumą pojąłem, iż z dni  
Najpiękniejszymi te się godzi nazwać,  
Gdy, przed oczami krajobraz, gadając,  
Przemienialiśmy w kraj duszy; gdy wzgórzem  
Ku cieniom stąpaliśmy w mroki gaju,  
Co nas okolił, jakoby przed wiekiem  
Przeżyty ongi; kiedy na polanach,  
Na łągach cichych sen, dyszący życiem,  
Istot, przenigdy niemarzonych, nawet  
Ich stąpań ślady oraz ich napojów  
Znajdowaliśmy łatwo, a nad stawem  
Płynęły słowa, głębszy łuk zwierciadła  
Od niebios wklęsłych: te dnie odpomniałem  
I zadumałem się, że obok trojga:  
Być zdrowym, ciało zażywać, jak gałąź  
Gibką, i myśli napinać, jak strzały,  
Wyłącznie jedno płuży: zespół druhów.  
Tedy zapragnął, byś nadszedł i wina  
Z tych chłodnych dzbanów wargami zaczerpnął,  
Które dziedzictwem są mojem, zdobionem  
W liście i dzieci igrające płochy,



Abyś na wieży wraz ze mną zasiadał  
Ponad ogrodem: dwaj młodzieńcy strzegą  
Odrzwi, a w głowach ich, spod zgasłych źrenic,  
Napoły odwrócony i bezmierny  
Los jako oko głazu w ciebie patrzy,  
Iż milkniesz, widząc u nóg mój krajobraz:  
I niechby bodaj jeden wiersz twój kiedyś  
Ku szlachetności dźwignął go w ustroniu,  
Oraz niekiedy wspomnienie o tobie  
Niechby jak cień się zagnieździło w zmierzchu,  
A między drzew czubami, co się chwieją  
W ciemności, drgnęła struna na powietrzu,  
Tocząc się zdala, jako grom złocisty.

#### IN MEMORIAM BÖCKLINA

(Ostatnie takt symfonii, występuje Prolog, za nim dwaj dźwigają opuszczone żagwie. Jest to młodzieniec w stroju wenecjanina, w szatach żałobnych.)

Muzyko, zmiłknij! Oto scena moja,  
I wzniosę skargę, bowiem mi przystoi!  
Młodzieńcom czasu tego jego soki  
Do żył spływają; ów, co ku mnie patrzy  
Z cokołu, był mej duszy miłym druhem!  
O, jakże zbraknie mi jego dobroci,  
W czasie tym bowiem wiele jest ciemności,  
I jako łabędź, stwórz płynący błogo,  
Z najady białych ściekających palców  
Na podobieństwo pocałunku pokarm  
Chwyta, tak w mrocznych chyliłem godzinach  
Wargę nad jego dłońmi, by nasycić  
Duszę pokarmem: był nim sen głęboki.  
Twój wizerunek jeno w liść uwieńczyć,  
A tyś mi obraz przyozdobił świata!  
I urok wszelkich rozkwitłych gałązek

Przewyższył takim blaskiem pałającym,  
Żem walił się na ziemię, upojony,  
I czuł w zachwycie, jak opada szata  
Zwolna i stromo, o, lśniaca Naturo!  
Czy słyszysz, przyjacielu? Nie zapragnę  
Na wszystkie strony rozsyłać heroldów,  
By wykrzyczeli twe imię na wiatry,  
Jak kiedy króle mrą: umierający  
Swym spadkobiercom zostawiają diadem,  
Pogłos imienia na mogiły płynie.  
Tyś nadto wielki był czarodziej, twoja  
Widzialność porzuciła nas, a przecie  
Nie wiem, co tam i ówdzie pozostało,  
Potęgą zatajoną i żyjącą!  
Mroczną żrenicą z ponocnego nurtu  
Na brzeg się dźwiga wilgotny — lub ucho  
Kosmate spoza bluszczów, nasłuchując,  
Godzi w nas,

przeto nie uwierzę nigdy,  
Iżem gdziekolwiek jest osamotniony,  
Gdzie krzewy trwają oraz kwiaty, nawet  
Najbardziej niemy głąz, drobniutki obłok  
Lekko się chwieje woddali: być może,  
Prawie napewno, stwórz bardziej przeźroczy,  
Niżli sam Arjel, za plecami memi  
Igra, powietrznie zwodząc; nie zaprzeczysz,  
Iż między tobą i niejednym stworem  
Przymierze było splątane w ogniwa,  
Ach! i wiosenna łąka, spójrz, uśmiechem  
Wabiła ciebie, jako śmiechem kusi  
Kobieta tego, któremu noc odda!

Mniemałem, skargę iż wzniosę o ciebie,  
A wargę moja ocieka słowami,  
Które obrzmiące są pjanym zachwytem:

Tedy nie godzi się pozostać tutaj.  
Trzy razy laską uderzę w tę deskę,  
Namiot wypełnię postaciami ze snu,  
Olbrzymie brzemie narzucę ci smutku,  
Ciężar, pod którym stapać będziesz chwiejnie,  
Aby zaszłochał każdy i by odczuł,  
Jaka działaniom naszym przymieszana  
Jest melancholja.

Niech gra wam ukaże  
Godzinę trwogi w głębi lśniącej lustra  
I mistrza ponad wszystkich mroczne słowo  
Niechaj widmowe wypowiedzą usta!

## IN MEMORIAM TRZECH WIELKICH AKTORÓW

### I.

Wspłonął i nagle zgasł, jak knot zdmuchnięty,  
Oblicza nasze powlókłszy znieenacka  
Błyskawicowym poblaskiem bladości.

Runął: z nim wespół padły kukły wszystkie,  
Do których żył przesączył krew dyszącą;  
Bezgłośnie umierały, a gdzie leżał,  
Tam się walała ciżba zwłok, rzuconych  
Bylejak, w dzikim tłoku; tu kolano  
Opoja w władcy źrenicę wtłoczone,  
Indziej Don Filip ze zmorą przywartą  
Do szyi: to Kaliban. — Wszystko trupy.

Więc pojeliśmy, kto był ów umarły:  
Czarodziej wielki z największych szalbierzy!  
I z domów naszych zawartych wyszliśmy  
I poczęliśmy gadać, prawiąc, kim był.  
Lecz któż-to był w istocie, kim-że nie był?

Spod jednej maski wpełzał w inną larwę,  
Z zewłoku ojca przeskakiwał w syna,  
Jak szaty luźne mieniając postaci.

Mieczami, które wirowały młynćcem,  
Tak szybko, że nie postrzegł nikt ich ostrza,  
Sam siebie krajał w kawały: być może  
Jedną połową był Jago, a druga  
Szłochała w błaznie, marzycielu gorzkim.  
A ciało jego było jak zasłona  
Zaczarowana, w której fałdach rzeczy  
Mieszkają wszystkie: i tam sięgał po nie,  
Wydobywając stwory i zwierzęta  
Z samego siebie: lwa, owcę nieśmiałą,  
Lub biesa-głupka, albo okropnego  
Djabła, i tego, i jeszcze tamtego,  
I mnie i ciebie. A to ciało było  
Łosem wewnętrznym w żużel przepalone,  
Jak żar węglowy, on trwał w palenisku  
I patrzył na nas, którzy się gnieździmy  
W zawartych domach, jako salamandra  
W ogniu: żrenicą obcą, martwą, białą.

Był jako władca krwawy. Wokół bioder  
Przepasał, niby muszelki barwione,  
Prawdy straszliwe i kłamstwa nas wszystkich.  
I mimo oczu mu przelatywały  
Sny nasze, jako stada dzikich ptaków,  
Odbite w jezior leśnych lśniącej głębi.

Tu wkraczał, przed tę kurtynę na deskę,  
Gdzie stoję oto, i jak w róg Trytona  
Burzliwa wrzawa morza jest więziona,  
Tak głos wszelkiego życia w nim dygotał:  
Wielkością brzmiał. I już był całym borem

I polem z białym naprzelaj gościńcem.  
Tu siedzieliśmy, jak dzieci rozwarłszy  
Oczy, patrzący wgórę, jak ku zboczom  
Skały olbrzymiej: a w tych wargach zdartych  
Zatoka była, gdzie huczało morze.

W nim bowiem była ta, co wiele drzwi  
Rozpycha gwałtem i nad dachy wzlata:  
Potęga życia, niespętana niczem.  
I jego to śmierć nagła skuła w pęta!  
Zdmuchnęła oczy, których skryte jądro  
Naryte było tajemniczym szyfrem,  
I tysiąc głosów zadławiła w krtani,  
I rozwalila człon po członie ciało,  
Gięte brzemieniem niezrodzonych istnień.

Tu stał. W następstwie po nim któż mu zrówna?  
Jakiż duch piersi labirynt zaludni  
Tłumem postaci, zrozumiałych nagle,  
Zatrzaśnie dreszczem okropnej rozkoszy?  
Tej, którą trwonіл, nie mogliśmy ująć,  
I dziś, gdy zabrzmi imię, wzrok wlepiamy  
W tę czeluść mroczną, która się zawarła.

## II.

Gmach ten wokoło i my sami owej  
Służymy sztuce, która ból najsroższy  
Przyprawia strawnie, nawet śmierć cukruje.

A on, którego przed oczy przywołam,  
Cóż to za siłacz! Taką posiadał zdolność  
Przemiany, iż się zdało wszelkim sieciom,  
Nie do złowienia, umknie! Tak przedziwny!  
Pomnicie? czynił się przezroczy, białku  
Żrenicy kazał tę najgłębszą skrytość,

Co w nim drzemała, zdradzać, i łapczywie  
Wciągał z powietrza duszę urojonych  
Istnień, jak dymy w jelita, przez szpary  
Potem wyrzucał je na światło dzienne.

I znów przetwarzał się do gruntu, stwory  
Znów wyciekały, pęczniewiąc, zaledwie  
Ludzkie, lecz żywe, jak powabnie-żywe,  
Przytakiwało im oko, aczkolwiek  
Nie oglądało przenigdy podobnych:  
Drobne zmrużenie powiek, jeden oddech  
Świadczyły, że istnieją, parujące,  
Z prałona ziemi ciepłej wyszarpane  
I ludzkie! Oczy zawrzyjcie, wspomnijcie!  
Spójrzcie na cielska krwiste, gdzie w zakątku  
Żrenicy nikła kołace się dusza,  
Lub dusze, które kości zbudowały,  
Jako skorupę szklaną, wokół siebie,  
Aby się schronić: pospolici ludzie,  
I ludzie mroczni, i władcy, i błazny,  
Ludzie do śmiechu i ludzie do zgrozy --  
Przetwarzał się do gruntu: oto byli.

Ale gdy gasła gra i gdy kurtyna  
Bez szmeru, jak powieka ubarwiona  
Szminką, opadła przed magiczną grota  
Zamarłą, a on w mrok stapał, to przed nim  
Tak się olbrzymia scena rozścielała,  
Jak przed żrenicą na zawsze rozwartą  
I porażoną bezsennością, której  
Kurtyna nigdy nie przesłoni czuła:  
Teatr okropny, realności scena!  
Tedy zeń wszystkie opadały kunszty  
Przeobrażenia, jak szmaty, i biedna  
Drżąca duszyczka szła, patrząc dziecięco.

Tedy wplątany był w grę bezlitosną,  
Niepojmujący, jak wzrosła w torturę;  
I każdy krok wciąż głębiej, niż poprzedni,  
I bezlitosny każdy znak milczący:  
Oblicze nocy brało udział w spisku,  
Wiatr się sprzysięgał, wiaterek łagodny,  
I wszystko przeciw niemu. Pospolitych  
Dusz nie usidla tak los mroczny, czułym  
Stawia potrzaski nad siły. I wzeszedł  
Dzień taki, gdy się podźwignął, i oko  
Udręką wysilone pragnął skąpać  
W przeczuciach i snach wiotkich, tedy zrzucił,  
Jak nadto ciężki płaszcz z bark zgiętych, życie  
Mocnym i drobnym gestem, już nie bacząc  
Na rozetlony pył u skraju płaszcza:  
Postaci, które kruszyły się w nicość.

Tak go wspomnijcie. Niech struny dostojne  
Wskreszą go, drżące tą niehumaną dola,  
A mnie pozwólcie zamilknąć: tu kres ów,  
Kędy się słowa skąpe łamią w wargach.

### III

O, jego głos mieć, aby wznieść tę skargę!  
Z jego godnością królewską moc stanąć  
Przed wasze oczy z moją skargą. Wtedy  
Godzina byłaby zaiste wielka,  
I królewskości poblask na mnie, więcej,  
Niżli żałoba: w dzieła bowiem władców  
Wspaniałość jest wmieszana, boski zachwyt  
W żal, gdy tarzają się w mogiły prochach.

O, ów głos, gdyby zatrzepotał skrzydłem  
Wiejąc nad nami! — Bo i skądże brzmiał?  
Skąd to dudniło o, ucho? Kto prawił  
Językiem takim? O, jaki tu gadał



Książę i demon? Z tych desek drewnianych  
Czyj głos? Kto z krtani przemawiał młodzieńczej  
Romea, najstraszliwszą chrypką dyszał  
Z gardła Ryszarda i szept wyłamywał  
Z zamarłych Tassa warg? O, kto?  
Nieprzeobrażon przez wszystkie przemiany,  
Czarodziej, nigdy nieoczarowany,  
Nieporuszony, co rwał nas na strzępy,  
Bardzo daleki, choć zdał się najbliższy,  
I bardziej obcy w sobie, niż ktokolwiek,  
Najsamotniejszy ponad samotnymi,  
Wysłannik przed wszystkimi, bezimienny  
Pana nad Pany zwiastun ów: najśrodszy.

Pominał nas, przeminał. Dusza jego  
Zbyt szybką duszą była, a żrenica  
Nadto podobna oku ptaka. — Gmach ten  
Ongi posiadał go — czyli go wstrzymał?  
Niegdyś mieliśmy go — nim runął w dół,  
Jak własna młodość z palców nam wylata,  
Niby wodogrzmot okrutny i lśniący.

O, niepokoju bez dna! Tajemnico  
Bezwstydnie jawna, zagadko natury  
Człowieczej. Kto też byłeś, istniejący?  
Ty, tak zbłąkany? O, ty cudzoziemiec!  
Ponocnych rozmów samotności z wielce  
Przypadkowymi twoimi druhami!  
Serca samotność, jak skała z czeluści!  
Nienasycony. O duchu bezsenny!  
Duchu. O, głosie! Najwidniejsze światło!  
Jak biegleś, lejąc się, zbyt biały blasku,  
Przez mrok, z wyrazów budując wokół  
Pałace, gdzie na jedno drgnienie serca  
Wolno nam było zamieszkać. — O, głosie,



Niezapomniany nigdy — Dolo — Kresie —  
O, tajemnicze życie! Mroczna śmierci!

Jak się o niego życie pasowało,  
Nigdy nie mogąc oplątać go w sekret  
Lubieżnych przeobrażeń! Jak trwał zawsze!  
Jakże królewsko sprostął! Jak się oparł,  
Chłopięco szczupły. O, maleńka dłoni,  
Siłą napięta, nad kruchością ramion!  
O, głowo drobna, żrenico ptaszęca,  
Gardząca wiekiem starczym i młodością,  
Oko bezsenne, sępie, co przed słońcem  
Powieką nie powlecze się, oko waleczne,  
Które zmierzyło oboje przepaści  
Życia i śmierci — oko wysłannika!  
O, poseł wszystkich posłów, duch! Ty, duchu!  
Trwanie twoje było wśród nas wyrzeczeniem,  
Pragnący lotu, o, do lotu wzbiły!

Nie wznoszę skargi o ciebie, pojąłem,  
Kim byłeś: aktor bez maski, płomieniem  
Ducha rażący, uniesion na zenit.  
Tam, gdzie cię oko moje nie ogląda,  
Ty, niezniszczalny, krążysz i do sępa  
Upodobniony, dzierzysz w szponach lustro,  
Które blask miota biały, bardziej widny  
Od błysku gwiazd najbliższych: tego światła  
Odtąd na zawsze zostałeś zwiastunem.  
Tak spamiętamy ciebie, kołującym  
I niezniszczalnym: duchem, którym byłeś!

O, głosiel! Duszo! Lotu próbująca!



FRYDERYK HÖLDERLIN



## POŁOWA ŻYCIA

Żółtemi gruszami zwisa  
I pełne dzikich róż  
Wybrzeże w głębię jeziora.  
Wy, nadobne łabędzie,  
Pijane od pocałunków,  
Nurzacie wzniosłe łby  
W święte i trzeźwe wody.  
Biada mi, skąd wezmę, gdy  
Zapada zima, kwiatów, i skąd  
Słoneczny blask  
I cienie ziemi?  
Mury sterczą  
Bezmowne i zimne, na wietrze  
Brzęczą chorągwie.

## F R A G M E N T

Ongi muzy spytałem, a ta  
Odparła mi,  
Przy końcu odnajdziesz nareszcie.  
O najwyższem zamilczę.  
Wzbronionym owocem, jak wawrzyn, jest wszakże  
Najbardziej ojczyzna. Niechże tej zakosztuje  
Każdy wostatku.

## ŻRAŁE SĄ W OGNIU NURZANE...

Żrałe są, w ogniu nurzane, warzone  
Owoce i doświadczane na ziemi, a jest to prawem,  
Iż wszystko przenika wgląb, podobne żmijom,  
Proroczo, śniąc  
Na wzgórzach niebios. A wiele,  
Jak na barkach brzemię  
Zatruty, należy  
Podźwignąć. Lecz ścieżki  
Złe są. Omylnie bowiem,  
Niby rumaki, kroczą usidlone  
Żywioły i prądkawne  
Prawa ziemi. A zawsze  
W niespełnienie jedna z tęsknot przenika. Lecz wiele  
Zdzierzeć należy. I trzeba wierności.  
Naprzód wszelako ani za siebie nie  
Wglądajmy. Kołyszmy się, jak  
Na chybocącym czółnie jeziora.

## P A M I A T K A

Z północo-wschodu dmie  
Z wichrów najmiłszy mi,  
Ognistego ducha  
I jazdę pomyślną  
Zwiastuje żeglarzom.  
Lecz idźże teraz i pozdrów  
Piękną Garonnę  
I ogrody Bordeaux,  
Gdzie ponad spadzistem wybrzeżem  
Wije się ścieżka i w ton  
Głęboko opada potok, a nad nim  
Szlachetna pogrąda para  
Dębów i topól srebrzystych.

Pomyślcie o tem jeszcze, o, sprzyjający, i jak  
Szerokie czuby chyli  
Wiązów gaj ponad młynem,  
W dziedzińcu zaś wzrasta figowiec.  
W święta stąpają tutaj  
Brunatne kobiety  
Na jedwabnej glebie,  
W porę marcową.  
Kiedy dzień równa się z nocą,  
A nad powolnemi ścieżkami,  
Od złotych snów ociężałe,  
Upojne kołyszą się wiatry.

Tedy niech mi kto poda,  
Pełen blasku ciemnego,  
Woniejący kubek,  
Iżbym spoczął; błogie albowiem  
Byłoby pod cieniem uśnięcia.  
O, nie jest dobrze,  
Bezduśznie od śmiertelnych  
Wolnym być myśli. Lecz dobra  
Jest pogawędka i wysłowanie  
Zamiaru, w sercu skrytego, usłyszeć wiele  
O dniach miłości  
I czynach, które się dzieją.

Lecz gdzieżże są przyjaciele? Bellarmin  
Wespół z druhami? Niejeden  
Nie ośmiela się podejść do źródła;  
Rozpoczyna się bowiem dostatek  
W morzu. Oni,  
Jakby malarze, gromadzą  
Piękno ziemi, a także nie gardzą  
Uskrzydloną wojną, ani  
Pomieszkaniem samotnem, przez lata,

Pod masztem, z liści odartym, gdzie nocy  
[nie przeszywają  
Blaskiem dnie świąteczne miasta,  
Ani strun gęźba i przyrodzony taniec.

Lecz powędrowali oto  
Mężczyźni ku Indier,  
Tam, na powietrzny szczyt  
Stokami winnic, skąd  
Wycieka Dordona  
I wespół z wspaniałą Garonną  
Szeroki, jak morze, kończy się potok.  
[Lecz morze  
Przyjmuje pamięć, zwraca,  
A także miłość pilnie wlepia swe oczy.  
Gdy to, co przetrwa, w niebo dźwigają poeci.

## P A T M O S

Landgrafowi Homburga

Bliski jest  
I do ujęcia trudny jest Bóg.  
Lecz gdzie jest niebezpieczeństwo, wzrasta  
Także to, co ocala.  
Mroki zamieszkują  
Orły, i bez trwogi stąpają  
Synowie Alp ponad otchłanią  
Na mostach lekko wzniesionych.  
Tedy, skoro spiętrzone są wokół  
Wierzchołki czasu  
I najukochańsi mieszkają w pobliżu, słabnący  
Na górach, najbardziej rozdzielonych oddalą,  
O, daj wody niewinnej,  
Skrzydłisk użyćże nam, najwierniejszym, wspomóż



Na tamtą stronę przejść oraz zpowrotem nawrócić.

Tak rzekłem i oto mnie uprowadził  
Szybciej, niżlim przypuszczał,  
I w dal, gdzie nigdy nie sądził,  
Iż wkroczę, genjusz jakowyś  
Z domu mego własnego. Lśniły zmierzchowo  
W pół zmroku, kiedym tak kroczył,  
Bór cienisty  
I tęskniące potoki  
Ojczyzny; nigdym nie zaznał tych krain.  
Lecz w świeżym już blasku niebawem  
Tajemniczo  
W złotawym dymie rozkwitło,  
Wyrosło, o, jak szybko,  
Wraz z krokami słońca,  
Pachnąc tysiącem szczytów.  
Ku mnie, o, Azjo, rozwarła przede mną, i oślepiony, szukałem  
Czegoś, com znał, gdyż nie nawykłem,  
Do tych ulic przestronnych, skąd  
Opada stromo z Tmolusa  
Paktol, zdobiony złotem,  
I Messogis się dźwiga i Taurus,  
A w kręgu rozkwieconych ogrodów,  
Cichy płomień. Ale na świetle  
Kwitnie wysoko srebrzysty śnieg,  
I, świadek nieśmiertelnego życia,  
Na niedostępnych murach,  
Wzrasta pradawny bluszcz, a wspierane  
Są kolumnami żywemi, cedrami oraz wawrzynem,  
Dostojne,  
Niby przez bogów wzniesione, pałace.

Ale wokół bram Azji,  
Wijąc się tam i sam,

W niepewnej morskiej dolinie, szumi  
Wiele gościńców bez cienia.  
Lecz znajome są wyspy żeglarzom.  
A, żem posłyszał,  
Iż jedna, w pobliżu leżąca,  
To Patmos,  
Tedy wielce zapragnął,  
Tam-oto zażyć gościny i tam-to  
Do ciemnej zbliżyć się groty.  
Gdyż, nie jak Cypros,  
Obfity w strugi, ani  
Inny jakowy ostrów,  
Wspaniale nie dźwiga sę Patmos.

Ale gościnny  
W każdym uboższem domostwie  
Jest jednak.  
Tak, kiedy korab rozbiwszy, lub skargę wznoszący  
O domowe ognisko, albo  
Przyjaciela, z którym skazano go na rozłąkę,  
Zbliża się kto  
Z obcych, chętnie go wysłucha; a jego dzieci,  
Głosy gajów gorących,  
I tam, gdzie piaszczyste wybrzeże opada i rozdwa się  
Pól płaszczyzna, brzmienia tych głosów  
Nasłuchują go i miłujący odzywa się oddźwięk  
Skargom owego męża. Tak piastował  
Ongi ulubionego bóstwu  
Zwida, który w błogiej młodości  
Odszedł  
Wraz z Najwyższego synem, nierozdzielny; albowiem  
Ów, dźwigający burze, miłował prostotę  
Ucznia, a ten bacznym mężem  
Pilnie oglądał oblicze Boga,  
Kiedy u tajemnicy szczepu winnego

Wespół siedzieli porą wieczery,  
I, w wielkiej swej duszy przeczuwający zgon,  
Wypowiedział to Pan i ostatnia miłość; nigdy bowiem podówczas  
Dość wypowiedzieć nie zdołał o słów dobroci  
I rozweselać niemi, gdy widział przed sobą  
Zagniewanie świata.  
Gdyż wszystko jest dobre. Poczem zmarł. Wieleby trzeba  
Rzec o tem. I dojrzeli go jeszcze, jak spoglądał zwycięsko,  
Przyjacioły, przy końcu, gdy był najbardziej radosny.

Lecz, ożałobieni, zasmucali się nad nim, gdy oto  
Wieczór już zapadł, zdumieni,  
Gdyż w duszach postanowili to, co wielkie, mężowie,  
A przecie miłowali pod słońcem  
Życie i opuścić nie chcieli  
Oblicza Pana  
Oraz ojczyzny. Wszczepione  
Było to w nich, jak płomień w żelazo, a u boku ich  
Kroczył cień miłowany.  
Tedy zesłał im  
Ducha, zaprawdę  
Zatrząsł się dom i gromy Boga,  
Hucząc zdala,  
Toczyły się ponad przeczuwającemi głowami,  
Gdy zadumani kamiennie, zgromadzeni byli  
Heroje śmierci,  
Teraz oto, kiedy rozstając się,  
Raz jeszcze im się pojawił.  
Gdy oto zgasło słońce dnia,  
Królewskie, i złamało  
Promieniające prosto  
Berło, cierpiąc bosko, nieprzymuszone:  
Albowiem powrócić miało  
O wyznaczonym czasie. Straszliweby potem  
Było i nagle urwane, niewierne

Dzieło człowieka, a stało się radością  
Od teraz oto  
Zamieszkać w miłującej nocy i zachować  
W oczach naiwnych niezachwiane  
Otcłanianie mądrości. A zielenią się  
W głębi na stokach gór żywe zarówno obrazy.

Jednak straszliwe jest, kiedy tu i ówdzie  
Bóg nieskończenie rozprasza to, co jest żywe.  
Gdyż to już znaczy porzucić oblicze  
Druha drogiego  
I wdał poza turnie się wspiąć  
Samemu, gdzie, rozpoznany dwojako,  
W jeden głos zestrojony niebiański był ducha; a nie był  
[on zwiastowany, lecz porwał

Za kudły, obecny,  
Kiedy znagła,  
Uchodząc wdał, wstecz spojrział ku nim Bóg,  
I, przysięgający,  
Aby je ujął, jakby związani  
Linami złotemi, odtąd  
Zło nazywając imieniem, dłonie sobie podali.

Ale, gdy umrze niebawem  
Ów, któremu piękno  
Najbardziej wierne było,  
Iż sama postać jego  
Cudem była i owi wszyscy niebiańscy  
Ukazywali nań, a kiedy wieczną zagadką będąc wzajem dla siebie,  
Nie mogący wzajem ująć się,  
Którzy żyli pospołu  
W pamięci; a duch nietylko piasek,  
Albo wierzby unosi z sobą i świątynic  
Porywa, kiedy rozwiewa się  
Cześć pół-boga i jego bliskich,

A nawet najwyższy odwraca oblicze,  
Że nigdzie niepodobna ujrzeć w niebiosach  
Ani na ziemi zielonej  
Tego, co jest nieśmiertelne: cóżże to jest?

To rzut siewcy, kiedy szuflą podbiera pszenicę  
I ku klarowności dorzuca, kołyszając ją ponad klepiskiem  
Plewy do stóp się sypią, ale  
Przy końcu wyłuska się ziarno.  
A nie szkoda, jeśli conieco  
Zatraca się i z wieści  
Przebrzmiewa żywy dźwięk:  
Albowiem dzieło boskie jest podobne naszemu.  
Nie pragnie wszystkiego naraz dokonać Najwyższy.  
Wprawdzie szyb dźwiga żelazo  
A rozżarzone żywice Etna;  
Tedy miałbym dostatek,  
By ukształtować obraz i podobnym ujrzeć  
Takiego, jakim był, Chrystusa.

Jeśli jednak jakowyś samby siebie rozniecił,  
I, przemawiając smutnie, po drodze, gdy jestem bezbronny,  
Gdyby mnie napadł, iżbym się zdumiał i zapragnął  
Naśladować ten obraz Boga, ja, rab —  
W gniewie widziałem raz jeden  
Widzialnego Pana niebiosów: nie, iżbym miał być czemś, lecz  
Bym się pouczył. Są dobrotliwi oni, ale najbardziej im nienawistne  
Jest, dopóki władają, to, co fałszywe, a wtedy  
Wśród ludzi to, co jest ludzkie, już jest bez znaczenia.  
Gdyż nie oni to rządzą, ale on rządzi,  
Los śmiertelny, i przeobraża ich dzieło  
Samo z siebie i spiesźnie skłania je ku zakończeniu.  
Kiedy bowiem wyżej wznosi się niebiański  
Wchód triumfalny, nazwany jest słońcu równy  
Przez silnych — weselący się syn Najwyższego.

On, hasło; a tutaj  
Sklania się wdół berło śpiewu.  
Gdyż nic pospolite nie jest. Wskresza  
Z martwych umarłych, co nie są jeszcze w niewoli  
U rubaszości. Ale czeka wiele  
Oczu lękliwych,  
By ujrzeć światło. Niechętnie  
Zakwitnąć muszą na ostrym promieniu,  
Aczkolwiek odwaga dzierży złote wędzidło.  
Lecz, jeśli kiedy  
Zapomniana od wzdymających się powiek  
Świata,  
Cicho lśniąca opada moc z świętego pisma, niechże,  
Radujący się łaską, ćwiczą się  
W cichem wejrzeniu.

A jeśli teraz niebiańscy,  
Tak, jak w to wierzę, miłują mnie,  
Ileż bardziej ciebie;  
Bowiem wiem j e d n o:  
Że woła Ojca przedwiecznego  
Wiele tobie oznacza. Cichy jest jego znak  
Na piorunującym niebie. A j e d e n, a któryś, pod nim  
Całe swe życie stoi; gdyż jeszcze żyje Chrystus.

A bohaterzy — to Jego synowie,  
Wywodzący się z Niego i litery święte  
Z Niego, a błyskawicę tę  
Po dziś dzień objaśniają wszystkie czyny ziemi,  
Gonitwa niepowstrzymana. A on jest przy tem, gdyż dzieła Jego  
Są mu świadome od samego początku.  
Za długo, za długo już  
Niewidzialna jest cześć niebiańskich.  
Gdyż niemalże wieść nas muszą  
Za palce i haniebnie

Serce wydziera nam jakowaś potęgą.  
Wszelkiej bowiem ofiary pragnie każdy z niebiańskich.  
A gdy zaniedbano jakiej, to  
Nigdy nie zaowocowało dobrem.  
Służyliśmy matce ziemi  
I służyliśmy potąd słonecznemu światłu,  
Niewiedzący. Lecz Ojciec, co włada nad wszystkim,  
Najbardziej pragnie, miłując, iżby strzeżono  
Utrwalonej litery i to, co ma przetrwać,  
Wyłożono, jak trzeba. W ślad za tem śpiew kroczy Germanów.





HERMAN KASACK



## LIŚĆ NA WIETRZE

Gwiazda wieczoru jeszcze twoja,  
Ale dom ciemny, gdzie usypiasz,  
Ach, serce, stały twój frasunek,  
Te są już cudze.

Ptaszących piórek mroczny trzepot,  
Obłoków zarys, lot ich chmurny, —  
Toczy się ziemia obok ciebie,  
Nie, tu cię niema.

Poniechan zdawna, opuszczony,  
Płynący w oddal, nie wiesz jaką.  
Piana na fali, co się mieni,  
Bliżej jest celu.

Jeśliś wieczornej zwierzył gwieździe,  
To nie to, serce moje, nie to —  
U twojej skroni, o, wieczności,  
Lauru nie zaznać.



ELSE LASKER-SCHÜLER



## J A K Ó B

Jakób bykiem był swojej trzody.  
Gdy zarywał stopy, jak kopyta,  
Z gleby skry tryskały oraz wody.

Rycząc, braci niechał łaciatych.  
Gnał, ziejący, w puszcze, ponad rzeki.  
Na kąsania małą znajdował leki.

Poprzez wielkie w kostkach krwawych bóle,  
Poraniony, padał pod niebiosa  
Z tym uśmiechem, jaki znają króle.

## FARAON I JÓZEF

Faraon odtrąca rozkwitłe niewiasty,  
Aromatem wonne wirydarzy.

Czaszka królewska na mojem ramieniu,  
Jak zbóż zapach.

Faraon złoty.  
Żrenice płyną i lśnią:  
Fale na Nilu.

Serce jego spoczywa w mojej krwi.  
Dziesięć wieków poi moja krew.

Zawsze rozmyśla Faraon  
O braci mojej,  
Która strąciła mnie w loch.

Gdy usnął, ramiona: jego kolumny  
Grożą.

Lecz serce rozmarzone  
Szumi u moich warg.

Przeto wargi me spierzchłe  
Składają słowa melodyjne  
Ponad zboża, o poranku.

## P O J E D N A N I E

Opadnie gwiazda wielka w moje łono...  
Czuwajmy, czuwajmy po nocy.

O, módlmy się językami,  
Które jako harfy są nacięte.

Pojednamy z nami nocę —  
Tyle przelewa się Boga.

Jako dzieci są serca nasze.  
Pragną spocząć znużone, błogo.

Wargi nasze ku pocałunkom,  
Czemu się wzdragasz?

Czyli serce nie graniczy z twojem —  
Twoja krew farbuje mi policzki.



Pojednamy z sobą noc z ołowiu,  
Nie umrzemy, póki się pieścimy.

Opadnie gwiazda wielka w moje łono.



DETLEV VON LILIENCRON



## W MIEŚCIE WIELKIEM

Wciąż w morzu miasta sunie ten, to ów,  
Koło mnie w mglistej i wielkiej kolei.  
Spojrzenie w oczy i przemija już.  
Kataryniarz korbą kręci.

W morze nicości jako kropli plusk  
Pada, mijając mnie każdy skolei.  
Spojrzeć na trumnę i wyruszyć znów.  
Kataryniarz korbą kręci.

Gromada trupów w morzu miasta prze  
Naukos ludzi, jeden, drugi, trzeci.  
Spojrzeć na trumnę własną, minąć znów.  
Kataryniarz korbą kręci.

## MARCOWY DZIEŃ

Cień obłoków nad polami żenie,  
Mgławych lasów modre z dali cienie.

Wrzask wysoko z powietrza, na łęgi  
Powracają żórawie z włóczegi.

Już jaskółki w ciżbie świegotliwej  
Podlatują na szemrzące niwy.

Wdał trzepocą się, dziewczko wesoła,  
Wstęgi. Szczęścia nikt nie przywoła.

Szczęście krótkie spłynęło jak chmury,  
Poza wody szkliste, za góry.

### PIĘKNE DNI CZERWCA

Północ, szemrzą wirydarze,  
Szept miłosny, młody nów,  
Dźwięk ostatni rozemdleje,  
Wszystko usnąć musi znów —  
Za rzeką, za mroczną, słowik zawodzi

Zieleń w słońcu, róż kwietniki,  
Blaski białe, strugi śpiew,  
Porankowy spokój rośny  
Okapuje krople z drzew —  
Za rzeką, za mroczną, słowik zawodzi.

W dal gościńce, tuman mglisty  
Kolas strojnych, bosych stóp,  
Wieniec chwały, trumien orszak  
W pusty się przewala grób —  
Za rzeką, za mroczną, słowik zawodzi.

Zwolna wieczór zmierzcha szaro,  
Łagodnieje srogość pól,  
Serce spokój odnajduje  
I dziecięcy, dawny ból —  
Za rzeką, za mroczną, słowik zawodzi.

## DRESZCZ ACHERONTU

Już trznadel rdzawe jagody wyjada,  
Splotły się wieńce plonów w skrzypiec świcie,  
Niebawem nożyc błyskiem jesień śniada  
W gałęzi skrzypie poucina liście.  
Spłoszy się w kniei chłodnej wron gromada,  
Zza obnażonych drzew, nierzeczywiście,  
Toczy się zwolna rzeka, zmierzch zapada,  
Prom, milcząc, senny, czeka na me przyjście.

## P I E T A

Skądże tu Marja wraz z tym sinym trupem?  
Na piasku spoczął, tuż obok muszelek,  
i bezgranicznie morze pluska w dal.  
Niebiosa zmierzchu osnute są burzą  
i aż do tafli mroczna sięga tucza,  
wielka, skłębiona gęstwa czarnych chmur.  
Fale dygocą zlekka, senne wełny,  
igrając zwolna, liżą płaski brzeg  
i brudnej piany zostawiają ślady,  
które się ciągną jak linja wzdłuż piasków.

Krucyfiks leży na tych muszlach twardych.  
Dłonie wygięte i stopy są jeszcze  
owite w miękkie chusty, by nie dostrzec  
okropnych znamion gwoździ powbijanych.  
Ponad nim Marja pochyla się zbliśka  
w gryzącym żalu i pojąć nie może,  
pojąć nie zdoła nigdy, że my ludzie  
syna jej zdradą wydaliśmy na śmierć.  
Czyli miłością nie był? Czyż nie dążył,

tak krótko żyjąc i tak wiele pragnąc,  
ku ocaleniu nas spokojem serca?

„O, głowo w ranach krwawych“, i Maryja  
łzami gorzkiemi lepki proch omywa  
z oblicza jego; łagodnie palcami  
muską, osusza pot śmiertelny z włosów.

Na widnokręgu, skąd słońce się stacza,  
za mgieł tumanem skrywając się zbitym,  
wystrzela nagle blask, ale odbity.  
I światło to rozlewa się przez wody,  
i po cienistych falach w pasmach bieży,  
i tych tam dwoje na brzegu naświatla,  
aż się niebiosą zawrą, jak kurtyna.  
Znów chwila ciemnej, ciężkiej, mrocznej nocy —  
wtem płomień wzbił się wdali, i ku łądom  
pała chaosem: miasta, kraje płoną,  
i dzikie wrzaski, dźwięk mieczy o tarcze  
dudni, rumaków tętent, bitew wrzawa;  
i tak szaleje mord: w imię Jezusa.

Słońce stoczyło się, zasnuł się zmierzch;  
kojący wietrzyk wychynął nad tonie  
i głaszcze lekko ostre kłosa diun,  
i chłodzi oczy spłakanej Madonny,  
i ściera mękę z wargi Zbawiciela,  
i fale senne mąci uśmiechami,  
które się z szłochem nieśmiałym kojarzą,  
co bezustannie omywa mu stopy.

## N U D A

Osowiale zasiadłszy w kawiarni,  
Zwertowałem miesięcznik, tygodnik



Obrazkowy od deski do deski  
Wraz z gazetą przeczytałem.

Nuda.

U stolików śmiano się, gadano,  
Papierosy kurzono, jak zwykle:  
Koncypjenci, studenci, subiekci,  
Mecenasy, pięknisie, poeci,  
Krótko mówiąc, ród nasz nienadobny.  
Zadumani jedni za pismami,  
Drudzy, gardząc małostkowym światem,  
O artyzmie prawili wyniośle,  
O Schillerze, teatrze, ludzkości,  
Cytatami szpikując dostojność.  
Inni rznęli gorliwie w karcięta,  
A ich widok był poczwarny.

Nuda.

Roznosiły wciąż mnóstwo napojów,  
Piwa zwłaszcza, kelnerki, litości  
Przejmująco godne.

Nuda, nuda.

W sali tkwiła para zakochanych,  
Bezustannie patrząc sobie w oczy,  
Przekrzywiony on miał kapelusik,  
Ona krzywo nasadzony grzebień.  
Rzekł: „Najsłodsza Róziu, pokaż, proszę,  
Twój buziaczek“.

Nuda, nuda, nuda.

Pośród tłumu ktoś w czarnym surducie,  
Elegancki od stóp aż do głowy,  
Brylantyną lśniacej, wszedł niedbale:  
Ważny facet! U blatu z marmuru

Zasiadł, nogi rozstawił, zażądał:  
„Mała, konjak!“ Wychylił go duszkiem,  
Poczem, w biodrach ważąc się, nieśpiesznie  
Ku bilardom ruszył. Z miną znawcy,  
Dobierając długo, wreszcie ujął  
Kij za cienki koniec. Wtem, o, dziwo!  
Zawirował nim, jakby maczugą.  
Wielka grozo! wszystko zeń opada  
Jednym rzutem: śmierć przed nami stoi.  
I zaczyna się ku nam rozważnie,  
Z siłą straszną, dyndając czerepem,  
Jakby staruch. A my, zbitą ciżbą,  
W drzwi walimy, przemieszani, w tłoku,  
Ramionami prąc, łokciami robiąc,  
Gdy on ciosy wciąż szybsze wymierza,  
Potężniejsze wciąż, wrzeszcząc okropnie:  
„Jazda, zgrajo, jazda na dno piekła,  
Do koszarów niezmierzonej czczości,  
Gdzie was tęsknie wyczekuje Nuda!“  
Parka tylko siedzi nieulekła,  
Nie dostrzegłszy zaiste niczego,  
Bezustannie patrzą sobie w oczy,  
Z przekrzywionym on kapelusikiem,  
Ona grzebień nasadziwszy krzywo.  
Rzecz: „Róziu słodka, pokaż, proszę,  
Twój buziaczek“.

„Nuda, nuda, nuda“,  
Krzyczy, kośćmi dzwoniąc, szkielet, drągiem  
Wywijając nad głową, aż wreszcie  
Z przerażeniem uciekną oboje.  
Wtedy wielki Połykacz ludzkości  
Sam zostaje. Jeszcze jeden konjak  
Łyka duszkiem. Poczem kroczy dalej,  
Elegancki od stóp aż do głowy,  
Brylantyną lśniącej, znów przywdziawszy

Surdut czarny, wielce nienaganny.  
I jak echem brzmi wśród ścian kawiarni  
Poprzez pustkę:

Nuda, nuda, nuda.



OTTO ZUR LINDE



## KRZEWOM NAD MOJĄ DROGĄ

Krzewom nad moją drogą  
Opadły uschłe pączki,  
Dzieci czekać nie mogą,  
Za płotem skubią strączki.

Jagody zielonkawe,  
Bylejak zrywane,  
Padają na murawę,  
Gniecione i deptane.

Kasztany za sztachetą  
I bzy zakwitły już.  
Kryjesz się, o poeto,  
W cieniu czerwcowych burz.

Ja również nie chcę ubogi  
Pozostać, wiązę się w liść.  
Na polach zwożą brogi.  
Ku żniwom pora mi iść.

Dygoce serce. Ale dłoń  
Widmowa sięga poprzez ganek,  
Czyli to śmierć uwieńczy skroń  
Przedwcześnie, zanim wzejdzie ranek

Plonu, jak niecierpliwe dzieci?  
Nim owoc zgniotę w jęku warg?  
Zrywaj! Ma izba widna świeci.  
Łam strąki! Nie znam skarg.

## DUSZA MOJA TĘSKNICĄ

Dusza moja tęsknicą,  
W mrokach nocy blask,  
Przytłumiony oddałą  
Ptaka senny wrzask.

Skrzydło ptaka olbrzymie  
Widne gwiazdy ćmi --  
Zna noce świętojańskie  
Dusza, i ciemne dni.

Dusza moja na czółnie  
Księżycowem wśród mórz  
Widzi stoki powietrzne  
Odbitych wzgórz.

Płyną wygięte skały  
Ku duszyczce, ku małej,  
Trzepota się w tęsknicy  
Żagielek biały.

Moja dusza, ów żagiel  
Na wietrze wskos,  
Leciutko się przechyla,  
Rozpuszcza włos.

Ach, ciężką kotwicą  
Zapada w muł,  
Bezdenne głębina  
Łamie ją wpół.

Na srebrnych stopach biegnie  
Ku mogile duszyczka, w świat,



Na groby opadło giezłeczko,  
Żal na murawę padł.

Wody spłynęły z grobli,  
Zmętniały gwiazdy i dnie —  
Czy jeszcze trzeba nam żagli,  
Moja duszo, kto to wie?

### S K A R G A

Kto słyszy wołanie pątników po nocy?  
Chwieją się w płaszczach rozwianych ponad czeluścią boleści,  
w bramy ciemności nurkują szarzy, znaczeni wysłańcy,  
Długi orszak olbrzymów ryje morze dygocące strapienia.  
Zamknij owiste twe fale, o, nocy, ponad tą ciżbą!  
Ścianę twoją mi wpoprzek wypiętrz przed oblicze!  
Podźwignę się oparty o stromość wierzchołka.  
Wydźwignę się nad szczyt Araratu.  
Zdejmuję księżycę z kopuły niebios.  
Na dachach nocy spłaszczone dłonie  
mocno wyprężę. Ponad świat wszystkich  
niedolę moją wykrzyczę, iż się echo załamie.  
Och, piersi moje są jak brzuch rodzący!  
Z warg moich rzezi trombita Sądu: gdzie spokój? spokój?  
Długo huczące skargi falującego żalu toczą jęczące góry.  
Wrzask przeraźliwy rygle piekiel rozwała.  
Boleść rozpryskana kona z westchnieniem na głuchem  
[przetaczaniu się nurtu,  
co szepce kopule: gdzie spokój? spokój?  
Biada! o, biada! Dudnienie młota o dachy świata,  
gdy ramię moje odskoczy — są pukaniem w sypialni,  
stukotem kropli deszczowych o szybę.  
Tedy stopni tysiącem popełzną,  
by między murami piwnicy przebudować mą skargę,

na słomie lecz, żebrak, między szczurami i zielskiem.  
Strapienie moje martwe, gdzie zbutwiał mój ból, gdzie mój  
[gniew zadławił się o wapno mokre.  
Trwoga moja płonie krwawo w szczurzych żrenicach.  
Skargo, moja skargo, pełnij, pochylona!  
Pytaj niskich pułapów; padnie zapytanie głucho na tę słomę:  
[gdzie spokój? ukojenie ciszy?  
z lękiem ciężarna kobieta: to ty! ty! zadyszysz.

## IDŹ CICHU TWĄ DROGĄ, IDŹ NIEMO PRZEZ ŚWIAT

Idź cicho twą drogą, idź niemo przez świat,  
Pilnie patrzaj po drodze, jaki więzi cię ślad.  
Nie oczekuj zapytań, nie trwoń jasnych słów:  
Gdzie czekasz na odpowiedź, zwolna zawracaj znów.

Z jakiegoś domu przychylne wezwanie,  
O, wędrowniku, już wzywa cię dłoń.  
Znużonyś. Czeką cię wonne posłanie.  
Ku drzwiom rozwartym ciężkie stopy skłoń.

Cóż do ogrodu wkracza i w altanie nakrywa  
Stół prosty? Leży obok gron winnych chleb.  
Odłóż kij zakurzony, niechaj w kącie czeka,  
— Witajcie, mili moi! — niech was strzeże Bóg.

Godzinka przed zmierzchem... nieza długo noc.  
Łóżko w izbie schludnej i muśnięcie warg.  
Rozmyślania włóczęgi, tęsknice i mitręgi,  
Pytanie wiecznotrwałe, skarga, droga i sen.

Idź cicho twą drogą, idź niemo, i trwaj.  
Pilnie patrzaj po łąnach, gdzie drogowskaz się gnie.  
Nadążysz do gospody, nim zapadnie noc,  
Drzwi rozewrą się izby, nie odeślą cię.

OSKAR LOERKE



## NOCĄ LETNIA

Z wiązu konarów w dygocie zwisa  
Pnącz żalu rozpleniony,  
Prze korzeniami, drga czarna misa  
Wieczności pogrzebionej.

Giętko splotami pnie się ze strugi  
Tuman zgniły i łzawy,  
Z gleby parując, mży opar długi,  
Grozą podcina trawy.

Podgwiezdne kręgi w łzach rozżalone  
Harfiane zbudząż skargi?  
Ach, bryły ziemi, brózdy zielone  
W obłoki tłoczą piargi!

Mgłami się bliskość osnuła płaczu,  
Gorzko szlochają płoty,  
Niebiosą sterczą niemą rozpaczą,  
Stromą górą zgryzoty.

Wzgórze goryczy mieni się szklano,  
Chmury zwiesza zaturaty,  
Kto, by ujść sobie, wyruszy rano,  
Temu przesłoni światy.

## STRUMIEŃ

Suniesz jak czas melodyjny, aż czasem prąd mnie oddali,  
Widmowo śpią moje dłonie, rozrzucone napłask,  
A dusza rośnie w otchłanie, cieniem spływa po fali,  
Niesie się, sączy, — i oto w strugi przemienia się blask.  
Piaskiem szarawym przemyka, srebrne topiele muska,  
Lekko się chwieje głębiną, wznosząc przeźroczość pian,  
Wybrzeża, co w nią wglądają, w zwarte całują ją usta,  
I nie wie, czy to w niej widnej mijany odbija się łąn.

We mnie olchy z zieloną twarzą  
Ku wichurom strzępią włosy,  
Bydłęta na łągach się parzą,  
Ptaki gnają przez pokosy,  
A nad łąką zrudziała o wczesnej jesieni  
Dygoce wysokość przestrzeni.

Ryby, szczury wodne, trytony  
Mącą ją falującym snem —  
I tak szumię przez ciepłe wygony,  
I że jestem, prawie już wiem.  
O, jak mierzę, nie mierząc, poloty gołębi,  
Głęboko lot połyska, jak wysoko drży!  
Wszystko jest wiarą ku prądom głębi  
Czystą, i silną, a ja jestem ty.  
Wreszcie się we mnie chmurna głęбина  
Dźwignie jak wieża, uwieńczy skroń.  
Przeczuwam, wieczność się rozpoczyna:  
Ma soli posmak i wiatru woń.

MAX MELL





## ZAPATRZENIE

Tedy spoczywam na wzgórzu liściastem  
i czuję życie moje, jako słońce,  
które przesuwa się zwolna, jak cień ów,  
ledwo spłoszony. Tu się nic nie stanie.  
O, jak bezmiernie mnie to uspokaja!  
Góry, jak śpiące psy, a przecie czujne,  
rzeka wieczysta, most i kryty ganek:  
temum oddany bez dna. I jest tak mi,  
jakbym na skręcie dojrzał drogi smukłej,  
jak z dali kroczy drobny Tobiasz współ  
z Aniołem, niknąc w pięknym krajobrazie.

## MIASTO NA WZGÓRZU

Gaje chmurne, dżgane piorunem,  
Na żałobny piętyż się stok,  
Poto źleby kaskady szumem  
Nagie głązy miotają w mrok,

By wierzchołki wieńczyć iglicą,  
Domy zwieszać u zbocza wzgórz,  
Jak dostojne powagą lico,  
Co w zawiędłość warg wciera róż?

Nie, wzniesiono miasto nad niwę,  
Nocą tajną sklecono w mig,

Słuchać: gnają satyry zgiełkliwe  
I dudniących centaurów krzyk.

Z zielonemi dłońmi driady,  
Ptaki w chrzeście stalowych piór,  
Wydźwignęły nad wodospady  
Gród wspaniały wśród stromych gór.

Kędy losy przędą się skrycie,  
Rąk tysiące, jak boski miecz,  
Kształt ciosają, by tchnąć weń życie,  
I tak przetrwa obca nam rzecz.

Niepojęta słowy ciemnemi,  
Jak ów dom, gaj wiejący, piarg, —  
Ach, samotna, zwierzona ziemi:  
Jęk urody z rozpękłych warg.

## WINOBRANIE

Błądziż słowiczy zew  
Przez łązy winne,  
Gdy zabrzmieć pragnie śpiew  
Dostojnym hymnem?  
Na wzgórze! W złotych łąk  
Drgające noce,  
W melodję rwanych strun  
Wzniesli owoce.

Jakby kaskadą spadł  
W burzliwe kręgi,  
Plejad lustrzany świat  
Wiruje prędeż:  
Tak przez świąteczny wrzask

Kołują fletnie,  
Faluje skrawy blask  
Przez mroki letnie.

Kobiet śmiech z gęstwy drzew  
Mąci winnice,  
Żarem rozpala krew  
Ciemną źrenicę.  
Chłopcy, spaleni wpół,  
Jak żrałe łany,  
Brunatność wieńczą czół  
Liściem rumianym —

Taniec, dudniący stuk  
Satyrów dzikich,  
W ognistych wzniecić mógł  
Boskie okrzyki?  
Echem zmaganie się ciał  
W błyskach płomienia  
Pojęk rytmiczny skał  
Wzmagaż w westchnienia?  
Zgniecionaż pośród grom  
Pierś ciężkiem łonem,  
By zawtórował zgon  
Najwyższym tonem?



A L F R É D M O M B E R T



\*       \*

Śpiącego poniesli  
w tę ojczyznę moją.  
Zoddali przybywam,  
nad szczytami, nad jarami,  
ponad morzem mrocznem,  
w tę ojczyznę moją.

\*       \*

Oto wierzchołek, aby na nim usnąć.  
Tutaj szybują lekkie chmury zbliśka,  
co skroń ci zwilżą i gorące ręce.  
I wodospady błogo brzęczą w tej głębinie,  
księżycem przemieszane, ryte, pienne.  
Posiadłem świat wasz. I wszelkie płomienie  
wciągnąłem w siebie. I przeżyłem szczęście.

A tu jest szczyt, by na nim usnąć wreszcie.  
Tutaj spoczywam, wielki Śpiący w snach,  
pod piramidą skrzących w gwiazdy skarbów,  
na uroczysku, w ludzkich wspaniałościach.

\*       \*

Kiedy zbudziłem się, dyszało morze  
i spoglądało w księżyc. W czółnie, obok mnie,

wysoki zasiadł cień. W srebrzystym hełmie  
na skroniach stromo. Sięgnęłam poń, sięgnęłam  
w puste powietrze. Dłoń moja się zdała  
odzwierciedlona w wodzie, cała z srebra.  
Wyrzekłem: jesteś tak zimny i widny,  
krew twa przepływa poprzez żyły srebrne,  
przez ciało mewa przemyka się lotem,  
mieszkasz nad gładkim lustrem, w blasku luny.  
Nadziei nie znasz. Nie pragniesz. Bez ruchu.

On wyrzekł: jesteś tak poczwarnie boski,  
pełen narodzin skłębionych, oblicze  
zmiażdżone masz i wypalone żądzą  
oraz obłędem, na łęgu zmierzchowym  
gnieźdź się, przywalony zszarpanemi  
głazami snów, pajaków prędkich chmarą.  
Śniesz i pasujesz się ku gwiazdom. Żyjesz.

I wonczas, milknąc, cień skłonił się czule  
na moją pierś. U skroni chłód uczułem  
hełmu srebrnego.

## U MROCZNYCH SKRAJÓW PIĘKNEGO OGRODU

U mrocznych skrajów pięknego ogrodu  
ogrodnik piętrzy oszronione zioła,  
gałązki zwiędłe.  
Ach! tam jest pięknie, tam zasiadam chętnie.  
Ciernie miłuję i gałęzie zwiędłe.  
Te w księżycowe noce wszystkiem darzą,  
czego nam, ludziom, trzeba do istnienia.

Widzę: tam stąpa przez noc księżycową  
poeta, szepcząc pod wysokiem drzewem,



słodko! tak słodko!

Poezją bowiem jest wszystko, czem człowiek  
ból koi wieczny.

\*       \*  
\*       \*

Gdyby mnie dotknął śnieg, może strzaskane  
byłoby serce moje, zabrzmiąaby harfa.  
Ale wesoły jest świat, ach, a ja  
spoczywam pod lśniącą plejadą Orjona.  
Mój dniu, mój dniu, szepcesz mi do ucha,  
z ciemnych oczu bóstwa,  
że przecie noc jest, że spoczywać muszę.  
Ach, przez przestronną noc wzrasta ma harfa  
i huczy z piersi mych w stężonych strunach  
i ku stropowi drga,  
i skrami pryska na ściemniałe morza,  
i na wybrzeżu stoi... śniąc...

Więc podejdź, synu, mały synku, dotknij  
czułym paluszkciem smętnej harfy ojca.  
Spłodzony we śnie, zasiądź u tej harfy świata  
pod lśniącą plejadą Orjona.  
Ty, wartowniku drobny, ciebie kocha  
harfa, światelko pod największem drzewem.  
Aż dzień nadejdzie! nowe morze! płomień!  
Aż zabrzmi róg twój na wiecznem wybrzeżu!  
Aż dźwignie się twój ojciec i zaśpiewa  
harfa świata! —

Synu mój, którego we łzach, we łzach całuję —  
głęboka jest noc i daleki dzień i płaczę.

\* \*  
\*

O, w czółnach leżąc. Chybocące czółna,  
i potraçały się wzajem dziobami.  
Wiosła płaskaały o noc—wodę.  
A głowy nasze legły na pokładzie,  
wielkie, srogie, samotne,  
a oczy lśniły nad pluszczącą wodą.  
Niejeden usnął po długiej żegludze,  
po tylu nocach w gwiaździstej opasce,  
teraz, w pobliżu nieznanego brzegu.  
Lecz my, najgłębsi my, o, my, bezsenni,  
spoglądaliśmy w oddał, hen, ku miastu,  
co pysznie nagie na plaży spoczęło  
wraz z wieżycami, pałacami,  
jasno oświetlonemi, z ludem, co na placach  
przechadzał się marmurowych.  
Którzy towarzyszyli mi przez myśli-morza,  
i ja, ich śniący demon,  
my patrzeliśmy, rozpaleni, w żądry  
lubieżnej na tamten brzeg, ku ziemi  
bliskiej, iż dłoń ją dotknąć mogła, ludzi.

\* \*  
\*

Jest wszystko tutaj.  
Są góry tutaj, są wędrujące obłoki,  
Wiele jezior, rozległe doliny, owocami lśniące.

Jest wszystko tutaj.  
Lasv, polany śródleśne, łęgi miłe, łąki,  
Kotliny pod śpiewem ptaków.

I tutaj namiot mój stoi:  
u przezroczego źródła,  
czysto wzniesiony ze ścian elementów:  
z eteru, z morza widnego, z blasku;  
z ludzkiego ducha.  
Tędy wieją wiatry.  
Fiołki i tulipany rosą myją brzeg.

W głębi zasiadłem nocą.  
Oto księżyc sierp korny spoczywa  
srebrem na mojej barce.  
Pobok mnie siedzi tancerka niebiańska.  
I dokonały się w sercu mem czasy.  
A tam jest śpiew wszystkich śpiewaków świata.



RUDOLF PANNWITZ



## O J C I E C

Syn mój odchodzi: — w oddal stąd  
W mnogich kraj narodów  
Mój wzrok jest ponad wszelki ląd  
Wiadomy krąg gościńców  
Dziekiem mi byłeś — obcy — wróg —  
Z odwiecznej pramacierzy  
I mężów wielu aż po Boga  
Poczęło cię: ojcowie

Wywędrowałem w dawny czas  
W mnogich kraj narodów  
Na skrzyżowaniu wszystkich dróg  
Rozbiłem me namioty  
Ma pierś pęknięta była wpół  
Krwawiąc dźwignąłem ten tu dom  
Co oczom będzie pustką stał  
Zaznałem ziemi zaznałem

Poszukaj odnajdź lepszy grunt  
W mnogich narodów kraju  
I wypchnij twego syna w świat  
Iżby cię nie zagładził  
Jest święta wiedza wierzaj mi  
Już dziś jej nie odszukać:  
Kto stąpa ślepo wpoprzek dróg  
Ten nocą widzi słońce





ALFONS PAQUET



## Z A D U M A N I E

Na toni, która usypia tutaj pomiędzy łęgami, a mrocznymi  
[pradawnymi drzewami,  
unoszą mnie czółno; dwaj młodzieńcy płyną przed łodzią, zupełnie  
[równie i spokojnie,  
ich jasne głowy i karki unoszą się nieco sponad wody, pod  
[którą suną płasko i zielono-brunatnie ich wyprężone ciała.

Oddalony jest od nas smukły most ponad nurtem, wygięty, jak  
[wędka.  
Poza tem spoczywa martwa głęboka płaskość z gładkim swym  
[blaskiem.

Stawidło szumi cicho w dolinę między wzgórz grzbiety  
u dołu, w zmierzchające się jezioro niebios z drobnymi złocistymi  
[rybkami tam wgórze.

Usiłuję poważnie przeniknąć,  
rozmyślać przeźroczo o wdzięku żywym i o mocy tego krajobrazu,  
[na który spogląda me serce;  
odpowiedzieć ciszy, ruchowi, nieruchomości wieczornego kraj-  
[obrazu z gleby, wody, listowia,  
oraz z niewielu istot ludzkich, które tutaj zapewne są jedynymi,  
[jakie czuwają,  
aby oświecić tem dziwnie spokojnem wzburzeniem w mojem  
[sercu.

## BIAŁY KSIĘŻYC

Księżyc biały, który z mocą wpatruje się w ziemię;  
nawałnica wysoka strzępi chmur gromadę,  
podmucha niebiański odziera z liści wieniec brunatny  
i mimo wiedzie srebrzyste stado w załęknionej jego ucieczce  
w obliczu tego, który zastępuje Boga.

Czarne czuby, rozchwiane szeroko, wy, wygięte ku niebu,  
szpony cienkie, pączki cierniste, wy, drzewa, każde struga bijąca,  
silne i ciemne w głuchem zdziczeniu!

Bez kierunkowa duszo zwierzęcia, które kłusuje po kniei!  
Dygocąca duszo człowieka, który stąpa po glebie, gnany  
wraz z drobnem odzwierciadlającym okiem, który kroczy poprzez  
[trawę  
z grudami ziemi pod stopami.

AUGUST VON PLATEN



## POŻEGNANIE RYZMU

Komu wędrować wpodłuż drogi Apijskiej ku południowi wolno,  
Kogo z trząsawiska łęgów magicznej bogini  
Wzgórza witają (która Odyssowi podała ongi kubek, łagodnie  
Śpiewanie słodkie wznosząc przy kołowrotku),  
Szczęsnym niechaj się mieni, chmurne,  
Melancholijne, nasycone gorączką,  
Podmuchy Romy zostawiwszy wtyle!

Czyżże tęsknocie się godzi zdawna zamierzchłych czynów  
[zmartwiały dech?  
Godziż się klechda owego męża, zapatrzonego w dzieje?  
Który prawi, że tutaj synowi Zewsa woły w jarzmie zagrabiono,  
[a tam

Wiekuiсты głąz zakopał Romulus,  
Tu, ponad źródem Egerji,  
Gdzie niegdyś gaje szemrały, pił  
Numa mądrość, czyżże się godzi?

Pustać pozostała jeno i gruzy. Wypatrzyć potrafi, ukazać  
Ciekawość to miejsce okropne, gdzie zewłok krwawy Cezara  
Leżał, a nadto ową kolumnę, gdzie padł, boskiego wodza  
[kolumnę,

Który w Farsalji wycieńczon, Tempy doliną  
Uciekał, doliną tą eleuzyjską,  
Gdzie z bożka rzeczno urny wpodłuż  
Łęgów zielonych złote tonie cieką.

Wszelako okręt w żaglach ku morderczej wkrótce zwiódł go  
[przystani:

Nie bez zgryzoty, nie bez oka, zasnutego mgłą żalu,  
Śmiertelnego wroga zewłok ujrzał zwycięzca, pomny minionych  
[dni przyjaźni,

Lub oplakując w duszy Romy losy, on sam  
Rzymianin, bluźniący, który  
Zwalił ją. Przewalały się czasy,  
A Roma padała, padała i pada.

Wprawdzie osuwa się zwolna, jak to, co trwać ma, opada,  
[podobna

Wspaniałemu ładowi umysłu, co gwiazdne pieśni harmonji  
Z onego świata—przywodzi nużącemu życiu kramarzy, piętnowan  
Marzyciela mianem, sam jeden wszystko jasno ważący;  
Wszelako obładowany nad miarę pochyla  
W pył powoli zamyśloną głowę  
Wciąż niżej, pełen boleści.

Tako i Rzym. Na nic nie zdał się jemu dostatni krwiożerczych  
Tyranów przepych. Świeży pędzie palmy, wschodzącej wiarą,  
Która jeno głębokomyślnie cienie wokół rzuciłaś ponad stygmaty  
[praczasów,

Czyli poblask i pompy czarodziejskie sztuczki cię ocaliły?  
Niechaj barki ludu dźwigają  
Okapujące od klejnotów karło,  
Które wznosi namiestnika Boga!

Z ruin wspaniałych Romy korynckiego kunsztu kapitel, całe  
[kolumny unosząc,

Wspiera, grabież uwieczniając, twój arcykapłan nedorzecznie  
Własne świątynie, szpetotę z pięknem nadarmo  
W jedno spajając. San Pietro w zenit wznosi  
Dostojne kopułami stropy:  
Tytaniczną budowlę wszelako  
Burzy twardy mnich z Wittenbergi.



Oto klucze twoje, tyranjo apostołów, utraciły władzę.  
On, który miasto świata i kręgi ziemskie darzy błogosławień-  
[stwem:  
Jeno wspomnienie zostało. Wydarło z rozrytej gleby legendę  
[prastarych herojów:  
Krwawiąc, dyszy ciężko pasujący się o wieniec atleta,  
Groty ostrzone miota bóg  
Śpiewu, niezmilkłe żale budzi  
Uroczo piękny druh Hadriana...

Wszelako mąci wejrzenie roztrwoniony nadmiar posągów,  
Niepokój dygoce nieśmiało, jak dusza dziewczęcia,  
Która z gromady wdzięcznych zalotników obrać ma najwdzięcz-  
[niejszego:

Nadmiernym rozkoszom nierzadko ulega duch.  
Silnym nie przystoi przeszłość,  
Jakoże uczeń pojętny sztuki  
Nie wyuczy się poprzez kunszty.

Jeśli chcesz rady posłuchać, wprzód rozpocznij, co proste:  
Doskonałość żrałe wydaje owoce na wypróbowanych  
Pniach, przyjacielu! Greckiemu duchowi nie hołduj przed-  
[wcześnie! Skrzydła woskowe

Przylepia jeno do ramion naśladowca lotu:  
Ale kwitną w poblasku strefach  
Temu jasne plejady,  
Kogo rozmach zatrzyma u szczytu.

Wprawdzie niejeden stwarza ożywioną naturę, kto Grecji  
Długim mozołem hieroglificzną jeno urodę  
Pozna i wdzięcznie formuje kształt nieśmiertelny. Budzi u różanego,  
U srebrnego pluskania górskiego potoku  
Od nowa stary tan olimpijski:  
Tak wyprowadził Thordwaldsen  
Z bogów zmierzchania świetlistość.

Ale śpiew ten podobien jest błędzącemu łowcy: klaskania  
[słowików

Zdala unoszą mu serce od gonitwy za zwierzem;  
Bez ścieżki, w zaroślach się błąka, po kniei, wzdłuż szczątków  
[skalnych i borów liściastych,  
Wreszcie wodogrzmot w górskiej kotlinie  
Rozprasza wszelką melodję i sny.  
Opustoszały zbocza, znowu  
Tropi swą ścieżkę myśliwiec.

Błogi, komu wytrwałość i umiejętność zadumy użycza teraz-  
[niejszości,  
Kto odrodzon się czuje, zmierza do kształtu nowego,  
Komu istnienie wiekuiste zda się, a śmierć nawet wymysłem  
[despotów,

Zamyślenie o której podwiązuje puls szczęścia:  
Chętnie taki opuszcza radośnie,  
Kapitolu, państwo tych cieni,  
Wasz przepych, cmentarze Romy!

Wiośnianność globu! Łęgu patenopejski! Grodzie młody na  
[zawszel

Przyjmij druha twojego, szumiącą go opłyn zatoką,  
Z której ongi (tak klechda prawi pradawna) uroczą wyłoniła  
[się piękność;

Mirty pobrażę, kwiecista piana toni we włosach;  
Jej to na brzegu Bakchos,  
Gdy stopą ziemi dotknęła,  
Szczep winny podał i tyrsos!

Mnie ku pomocy poeta pośpiesza, chwałą świata uwieńczon  
[Kwiryta:

Z Hellady wracającego zgon go przemożny zaskoczył;  
Wszelako nie Romy wzgórze okryły popioły w urnie zamknięte  
[przedwcześnie:

„Niech kości moje, tak tchnieniem przekazał ostatniem,  
W Neapolu odpoczną,  
Gdziem w gajach złocistych owoców  
Śpiewał pasterzy, zboże, herojów“.

## W NOC NOWOROCZNĄ

Duszo wszechświata, czyżże sączysz się tchnieniem  
W piersi człowiecze i rodzisz piękne echo?  
Wielkie malowidła powstają,  
Słowa olbrzymie dla serc.

Chętna pomocy, o, ty, oślepiająca,  
Snem nie oślepiajże mnie, wy, światła płonne,  
Mińcie zatroskane me czoło,  
Abym podźwignął się w blask.

Pokąd miłujące wiedliście, kroczyłem,  
Dary nie moje zostawiając woddali:  
Wszelkie poblaski i wszystką  
Ciszę, a daję ją dom.

Zawsze ku wam piąłem się, ku wam, spod stopy,  
Jako ruiny, opada, co zdołałem  
Zdobyć, nie patrząc za siebie,  
Pnę się i pnę się wciąż wzwyż.

Gwiazdy nadaremnie, nie sędzę, ku czasów  
Dawnych wiedliście ruinom, serce, oczy  
W hart oblekając, o, uczcie,  
Abym dotrzymał wam krok!

Odtąd rozbłyskujcie świetliściej, niech płomyk  
Wieje, kędziory muskający, przylega,

Miło łagodniejąc, ku myślom,  
Które hoduje ma skroń.

## O D Y

### III

#### PIRAMIDA CESTJUSZA

Głuchy monument; ty surowo patrzysz,  
Gruzy, grobowce oglądający jeno,  
Szczątki od Romy tu przetacza w dale,  
Wije się Tyber!

Dumna mogiło, dźwignęła cię pycha,  
Dwoma piętrzysz się tysiącami lat. August  
Świata narzucił strwożonemu poprzez  
Trupa Cezara!

Kości spokojnie niechaj spoczną moje  
Tutaj, ojczyzny rozproszone zdala,  
W szrony ziębiącej ponad wargą wszelki  
Oddech płonący!

Chętnie rzeknę się pobok tego głazu  
Tego, co Roma nam odmawia srogo:  
Świata zaświatów, Apostołów jeno  
Kluczem zwartego!

Wiedźcie raczej mnie chociażby i w piekło,  
Dusze pradawne w schronieniu tam drzemią,  
Homer hymny tam wznosi, w laurach spocznie  
Sofokl znużony.

Myśli śmiertelne, zniknijcie! Kwitnie  
Radość istnienia w ludzie rzymskim jeszcze,

W ludzie namiętność bywa jako płomień,  
Wierny przyjaźni!

Przetrwaj, o, serce, przecierp czasy doli,  
Same na siebie zdane. Zadźwięcz skrycie  
Śpiewem, potokom równym, brzęcącym echem,  
Śpiewem przemożnym!

#### IV

Ciepło, widno mroczniejsz nocy, ty!  
Chłopcze, pójdź ze mną wędrować pod ramię,  
Z bronzu wargi zbliżający k'druha  
Jasnym policzkom, drżąc.

Jesteś skromny najprawdziwiej; wolę  
Twoją, o prosty, śliczną mowę;  
Miękkie, powabne słówka rzymskie  
Szepcesz szmerem twych warg.

Nie szepcze, nie dziękuj niegodnemu!  
Czyżbym mógł nie oglądać w oku,  
Ach, wahającej się łyzy, i nie drzeć?  
Na żrenicy miłej?

Gdyby ją Bachus oglądał raz,  
Ciebie to radby on obrał wnet,  
Ambra namaszczon, wsparłszy pewnie  
Lekko się ciałem!

Niech mi święte będzie to miejsce, gdzie  
Ciebiem ujrzał, Janikulu wzgórze,  
Święty klasztor spokojny, miły  
Placyk, zawsze barwny.

Tak stamtąd mi zawsze ukazujesz  
Ów kościół, pałac, ruiny zwalisk,  
W dal ożeglowaną barkę lotną,  
Która sunie pod prąd.

## VII

Jeśli ukształtować zechcesz, naturo,  
Przed oczami wszechświata jakowąś postać,  
By okazać, co zdołasz, ulubieniec  
Twojej łagodności bezmiernej niechby miał ślad.

Wszystko niechaj w nim będzie harmonją,  
Jako wiosna przepyszna, kwiatami rozwita, człon każdy;  
Wszelakie gesty łaskawe,  
Każde poruszenie przemiłe i lekkie.

Wszelako w każde rozmarzone oblicze ryjesz  
Żyjącego ducha i ową, aczkolwiek radosną,  
Przecie okrutną obojętność,  
Co równoważy w spokoju żądzę i moc.

## XXI

### SKARGA ZERWANA

Z drżącej powieki nocy łza mi opada,  
Podczas gdy dzień utęskniony zwiastuje pianie kogutów:  
Zbudź się, duszo, pełna zgryzoty,  
Zawrzyj przymierze z Bogiem!

Ślubuję piękną przysięgę, że zawsze wierny będę  
Srogiemu prawu, nie sprzeniewierzę się nigdy,  
Dłonie położę na lirze,  
Pokorny, śpiewnej, mosiężnej!

O, racz z ducha mojego raz jeden zdjąć ów ciężar.  
Zezwól, bym, nieprzytomny z miłości, na piersi, podobnej  
[własnej,

W triumfie, zapomniawszy o sobie,  
Poczuł się wreszcie człowiekiem!

Nadarmo. Stygnie dłoń, gdy pychą ziębnąca  
Po ziemski owoc sięga! Wzdycha pod tobą,  
O, ciężkie brzemię myśli,  
Kark mój, zaryty w pył!

Oko zasnuć mgłą. Światłości przeczysta,  
Niechaj się wzbije na rozwidnioną wysokość!  
Ale któżże z śmiertelnych  
Na chmurę postawił stopę?

Szczęśliw ów, jeśli taki narodził się kiedy,  
Kto noce spędzał w spokoju, dnie w ciszy,  
Komu róża starczyła i wiosna,  
Komu serca nie zżęłtał, miłości!

## XXVII

Młoda, niewinna natura, człowiek to jeno  
Starzeje się, winę wokół gromadząc i nędzę;  
Przeto sprawiedliwość nadchmurna zwiastowała nam  
Wyzwolenie i śmierć.

Zawsze z dzisiaj na jutro płocha odracza nadzieja  
Widmo utęsknień. Pod obce nieba wędruje  
Człek, jedną wymieniając niedolę  
Na gorzką, bardziej gorzką.

Zawsze o wolność pasuje się, o poznanie;  
Kiedy wszystko śmiertelnych zakuwa, jak w obręcz!

Niema mocy, co by ciosom sprostala,  
Pancerz hartowny pęka.

Skrzydłem pod gwiazdy wzbija się wiedza, która  
Zaledwo jedną stronicę odwraca w księdze wszechrzeczy:  
Czyś próbował kiedy wzdłuż mlecznych gościńców  
Błądzić ku Orjonowi?

Zali istnieją dwie dusze, które pojma się do dna?  
Któż odpowie? Niech każdy ku tajemnicy się dźwiga,  
Głosów krewnych własnemu poszukując na wiatrach,  
Póki nie umrze, szukając, póki nie umrze.



REINER MARIA RILKE



## R E Q U I E M

za przyjaciółkę.

O, mam umarłych moich, i zwracałem  
im własną wolność, i zdumiony byłem,  
jak utuleni są, jak w tem umarciu  
zadomowieni szybko, sprawiedliwi,  
jak od opinii swej różni. Ty jeno,  
ty wracasz; muskasz mnie, okrążasz, pragniesz  
potrącić o coś, by zabrzmiało tobą,  
by cię zdradziło. Och, ty nie wydzieraj,  
czego się uczę zwolna. Ja mam słusność;  
mylisz się, kiedy, wzruszona, zatęsknisz  
za jaką rzeczą. My ją przemieniamy;  
tutaj jej niema; rzutujemy z głębi  
bytu naszego ją, odzwierciadlamy  
ją tutaj, gdy ją tylko rozpoznamy.

Znacznie cię dalej sądziłem. Przełęka  
mnie, że to właśnie ty błędzisz i krążysz,  
któraś przeobraziła więcej, niżli  
jaka kobieta inna. Nie to, żeśmy  
strwożyli się, kiedyś umarła; nie,  
że mocna śmierć twa ciemno nas przecięła,  
to, co aż było dotąd, odrywając  
raptem od tego, co nadeszło potem:  
to nas obchodzi: to włączyć w ordynek  
jest pracą naszą, którą czynim z wszystkim.  
Lecz, żeś się sama stworzyła i teraz  
drgasz trwogą tam, gdzie lęku już nie zaznać,

że z twej wieczności tracisz okruszynę  
i wkraczasz tutaj, ptzyjaciółko, tutaj,  
gdzie wszystko jeszcze nie jest; że w wszechświecie  
raz pierwszy rozdrobniona, połowiczna,  
drabiny nieskończonych natur tak  
nie uchwyciłaś, jak rzecz wszelką tutaj;  
to, że z koliska, co cię już przyjęło,  
ciążenia siła głucha niepokoju  
jakiegoś ściąga cię w dół w czas znaczony —  
nocą mnie często budzi, jak włamywacz.  
Ach, gdybym wyrzec mógł, że jeno raczysz,  
że z łaskawości przybywasz, z nadmiaru,  
gdyż takaś sama w sobie upewniona,  
że stąpasz wokół, jak dziecko bez drżenia  
przed miejscem, w którym ukrzywdzić je mogą —  
lecz nie: ty prosisz. To mnie tak przerzyna  
po same kości i szarpie, jak piła.  
Ten wyrzut, który skrywałabyś, widmo,  
zapamiętała mi, kiedy się nocą  
w płuca me cofam, w trzewia, w tę ostatnią  
nędzną komorę tego serca mego,  
ten wyrzut nie byłby aż tak okrutny,  
jak to chodzenie po prośbie. Cóż prosisz?

Powiedz, pojechaćże mam? Czyż gdziekolwiek  
pozostawiłaś przedmiot, co się dręczy,  
i pragnie iść za tobą? Czyliż mam się  
w kraj udać, niezaznany, choć był tobie  
tak krewny, jak połowa druga zmysłów?  
Na rzekach jego chcę żeglować, pragnę  
przybić do brzegu, o dawny obyczaj  
pytać, gawędzić z kobietami we drzwiach  
i patrzeć, jak swe dzieci przywołują.  
I zapamiętać chcę, jak krajobrazem  
przy dawnej się robocie otulają

na łąkach i na polach; chcę zażądać,  
by przed oblicze stawiono mnie króla,  
i chcę kapłanów podżegać przekupstwem,  
by mnie rzucili przed najsroższe bóstwo,  
poczem odeszli, drzwi świątyń zawarli.  
Zapragnę jeszcze, gdy dowiem się wiele,  
poprostu przypatrywać się zwierzętom,  
aby cokolwiek z ich ruchów w me stawy  
spłynęło; krótkie zechcę mieć istnienie  
w ich oczach, co mnie chwilę zatrzymają  
i zwolna cicho uwolnią, bez sądu.  
Chcę, aby ogrodnicy po imieniu  
wiele mi kwiatów nazwali, bym w szczątkach  
tych pięknych nazwań jakby drobną resztkę  
ich wielolitych zachować mógł woni.  
I chcę owoce kupować, owoce,  
gdzie jest raz jeszcze ziemia—aż po niebo.

Gdyż pojmowałaś to: prężne owoce.  
Na czary układałaś je przed siebie  
i barw ciężarem je równoważyłaś.  
I, jak owoce, widziałaś podobnie  
kobiety, oraz dzieci, równie z wnętrza  
pędzone w kształty, w kształty ich istnienia.  
Ujrzałaś siebie wreszcie, jako owoc,  
wyjęłaś siebie z sukien, przed zwierciadło  
siebie zanosłaś, w nie się zapuściłaś  
z wyjątkiem twego patrzenia; zostało  
ono tam, przed niem, wielkie, i nie rzekło:  
otom jest ja; przeciwnie: oto jest.  
Tak ciekawości wyzbyte przy końcu  
było patrzenie tve, ubóstwa pełne,  
że nie pragnęło nawet ciebie: święte.

Tak cię zachować pragnę, jakeś sama

w lustrze się ustawiła, w wnętrzu głębi  
i od wszystkiego zdala. Czemuż schodzisz inna?  
Dlaczegoż odwołujesz siebie? Czemu  
wmówić mi pragniesz, że w kulach bursztynu  
wokół twej szyi cośnecoś ciężaru  
było: ciężkości, której nigdy niema  
w obrazach, które zaświat już ukoił;  
przec mi postawą zwiastujesz złą wróżbę;  
cóż nakazuje ci kontury ciała  
wykładać, jakby linje jakiej dłoni,  
iż widzieć muszę je pełne przeznaczeń?

O, podejdz w światło świecy. Wpatrywania  
w zmarłych nie strwożę się. Kiedy nadchodzą,  
w naszym spojrzeniu zatrzymać się mają  
prawo, podobnie, jak inne przedmioty.

Chodź tutaj; pozwól, chwilę się uciszmy.  
Spójrzże na różę tę na mojem biurku;  
czyż nie jest światło wokół niej tak samo  
onieśmielone, jak wokoło ciebie:  
i jej tak samo trwaćby tu nie wolno.  
Powinna zostać była tam w ogrodzie,  
nieprzemieszana ze mną, lub zawiędnąć, —  
i oto trwa tak: czem jej ma świadomość?  
Nie przeraż się, gdy pojme teraz, ach,  
oto się dźwiga we mnie: zrozumienie,  
muszę je przyjąć, chociażbym miał umrzeć.  
Pojąc, że jesteś tutaj. Już pojmuję.  
Jak ślepiec poomacku rzecz pojmuję,  
czuję twój los i nie znam dlań imienia.  
Pozwól, iż razem będziemy się żalić,  
że ktoś cię wyjął z lustra. Zdołasz płakać?  
Nie umiesz. Napływ, moc łez przemieniłaś  
w dojrzałe, trwałe zapatrzenie twoje,

i z trudem każdy twój sok przesączałaś  
w istnienie silne, co wznosi się, krąży,  
i równowagę utrzyma, naoślep.  
A wtedy traf cię, twój traf już ostatni,  
wyrwał, zawrócił z twego najdalszego  
postępu w świat ów, gdzie soki wciąż pragną.  
Niecałkiem wydarł; naprzód kawałatko,  
lecz wokół tego strzępa, gdy z dnia na dzień  
tak rzeczywistość obrastać poczęła,  
że zaczęła ciążyć, wówczas całą siebie  
zużyć musiałaś: temu się poddałaś:  
z mozołem wyłamałaś się w okrucinach  
z prawa, albowiem całej siebie było  
ci trzeba. Wtedy siebie przekopałaś  
i wygrzebałaś z ciepłej ciemnej gleby  
twojego serca zaledwie zielone  
nasienie, z niego zakiełkować miała  
śmierć; własna śmierć twa, śmierć dla twego życia.  
I jadłaś je, te ziarna twojej śmierci,  
jak wszystkie inne, spożyłaś jej ziarna,  
i miałaś w sobie posmak jej słodczy,  
tej nieczekanej, miałaś słodkie wargi,  
ty: co już z wewnątrz, w zmysłach, byłaś słodka.  
O, pozwól nam się skarżyć. Wieszże, jako  
z niezrównanego krążenia krew twoja  
niechętnie, wzdragająca się, wracała,  
gdyś odwołała ją? Jak, pomieszana,  
niewielki obieg ciała znów podjęła;  
jako, nieufna wielce i zdumiona,  
w łóżysko płci przenikła i tam, nagle,  
znużyła się powrotem swym olbrzymim?  
Tyś przynaglała ją, naprzód ją gnała,  
szarpałaś ją do miejsca grozy, jak  
stado się zwierząt ciągnie do ołtarza;  
przyczem pragnęłaś, by radosna była.

I wymusiłaś to wreszcie: szczęśliwa  
była, nadbiegła i wszecz się rozlała.  
Tobie, przywykłej do innych miar, że to  
na chwilę tylko, zdało się: a przecie  
w strumieniu czasu brnęłaś: czas jest długi.  
I czas przypływa i wzbiera, i czas  
jest jako nawrót przewlekłej choroby.  
Jak krótkie było twe życie, jeżeli  
przyrównasz je godzinom, gdyś siedziała  
i liczne moce rozlicznej przyszłości  
zginałaś, milcząc, ku zarodzi dziecka,  
co w los się przemieniło znów. Bolesny trudzie!  
O, praco ponad siłę wszelką! Tyś  
dzień po dniu ją czyniła, tyś się wlokła  
i z kołowrotka wyciągałaś piękny  
wzór, wszystkie nici wiążąca odmiennie  
twoje. A wreszcie, już przy samym końcu,  
odwagi ci starczyło do zabawy!

Albowiem, kiedy dokonane było,  
nagrody zapragnęłaś, jako dzieci,  
co słodko-gorzką wypily herbatę,  
która ozdrowia może. Tak się nagradzałaś:  
od wszystkich ludzi bowiem zbyt daleko  
nawet i teraz byłaś; niktby nie potrafił  
miłej dla ciebie wymyśleć nagrody.  
Wiedziałaś o tem. Zasiadłaś na łożu,  
przed tobą stało zwierciadło, to, które  
wróciło tobie wszystko. Oto teraz  
to wszystko było tobą, a tam wewnątrz  
tylko złudzenie, owa piękna złuda  
kobiety wszelkiej, co chętnie w klejnoty  
stroi się, włosy czesze i poprawia.

I tak umarłaś, jak niegdyś kobiety



marły, umarłaś w ciepłym swoim domu  
położnic śmiercią, co pragną spowrotem  
zamknąć się i już nie mogą, albowiem  
ta ciemność, którą urodziły współ,  
raz jeszcze wraca i pili i wkracza.  
A czyliż wtedyby nie należało  
jednak odnaleźć było płaczek? Kobiet,  
co za pieniądze wrzeszczą, które można  
płacić, by całą noc szlochały w ciszy?  
Obrządków! My nie mamy dość obrządków.  
Wszystko przemija, przegadane wszystko.  
Tedy, umarła, nadejść musisz, ze mną  
by powetować skargi. Słyszysz, jak się skarżę?  
Pragnąłbym głos mój narzucić, jak chustę,  
na druzgi twojej śmierci i ją szarpać,  
aż się rozleci w kawały, i wszystko,  
co mówię teraz, niechajby w łachmanach  
przed głos ten przeszło, trzęsące się z zimna;  
gdybyż na skargach poprzestać. Lecz oto:  
oskarżam. Nie jednego tego, który  
ciebie z twej własnej wydobył łupiny  
(już nie odróżnię go, jest on jak wszyscy),  
lecz wszystkich w nim oskarżam jednym: męża.

Jeśli gdziekolwiek we mnie bardzo dawne  
dzieciństwo wgłębi wznosi się, a nie znam  
go jeszcze, może najczystsze dzieciństwo  
dzieciństwa mego: niechaj nie wiem o niem.  
Nie patrząc, pragnę urobić Anioła  
zeń, poczem rzucić w najpierwsze szeregi  
Aniołów w krzyku, by przypomnieć Bogu.

Gdyż to cierpienie trwa już nadto długo  
i nikt nie zdoła mu sprostać; za ciężkie  
jest dla nas zaplątane to cierpienie

zafałszowanej miłości, co, wsparte  
na przedawnieniu i na nawyknięciu,  
prawem się zwie, a karmi się bezprawiem.  
Gdzież jest męczyzna, który miałby prawo  
do posiadania? Któż posiadać zdoła,  
co samo siebie nie ma, jeno czasem  
pochwyci siebie błogo, by odrzucić,  
jak dziecko piłkę? Jako wódz podobnie  
nie zdoła Niki na dziobie okrętu  
wstrzymać, tajemna lekkość jej boskości  
gdy nagle wznosi ją w jasny wichr morski:  
podobnie nikt z nas nie może kobiety  
przywołać, która już nas nie postrzega,  
i na wążutkiem pasemku istnienia  
odchodzi cudem, niepokaleczona:  
chyba, że zrodziłby się ów złoczyńca.  
Gdyż to jest winą, jeśli co jest winą:  
wolności tego, co się ukochało,  
o całą wolność własną nie pomnożyć,  
na którą zdobyć się można. My przecie,  
kiedy miłujem, mamy jedno tylko:  
wzajem opuścić siebie; że się dzierzym,  
to jest nam łatwo, uczyć się nie trzeba.

Czyż tutaj jesteś jeszcze? W jakim kącie?—  
Tyś o tem wszystkiem tak wiele wiedziała  
i tyleś mogła, skoroś tak odeszła,  
jak dzień wschodzący, otwarta wszystkiemu.  
Kobiety cierpią, kochać — to być samym,  
artyści zaś niekiedy pośród pracy  
to przeczuwają, że przetwarzać muszą,  
kiedy kochają. A tyś rozpoczęła  
jedno i drugie; to bowiem i tamto  
w tem się zawiera, co teraz twa sława  
paczy, ta sława, która cię okrada.

Ach, tyś daleka była wszelkiej chwale.  
Tyś niepozorna była; swą urodę  
przyjęłaś lekko w siebie, jak chorągiew  
zwiją się w szary ranek w dniu roboczym,  
i tylko pracy długiej tyś pragnęła, —  
co nie jest dokonana, mimo wszystko.

Jeśliś jest jeszcze tu, jeśli w ciemności  
tej jakie miejsce jest, kędy wrażliwie  
zjawia twa współdrga płaskim falom dźwięku,  
które rozbudza głos samotny nocą  
w prądzie wysokiej komnaty, o, słuchaj,  
pomóż mi. Widzisz, my się tak zsuwamy,  
nie wiedząc kiedy, spowrotem z postępu  
naszego w coś, czego nie zamierzamy;  
zaplątujemy się w tem, jako we śnie,  
i umieramy w tem, nieprzebudzeni.  
Nikt nie wykroczył poza to. Każdemu,  
kto krew swą dźwignął w dzieło, które przetrwa,  
zdarzyć się może, że go nie utrzyma  
na wysokości już i że opadnie  
własnym ciężarem, bez wszelkiej wartości.  
Skrywa się bowiem gdzieś pradawna wrogość  
pomiędzy życiem a olbrzymią pracą.  
Obym ją pojął, wspomóż—ty mnie—rzekła.

Nie wracaj. Jeśli wydołasz, pozostań  
umarła pośród umarłych. Umarli  
są zatrudnieni. Ale tak mi pomóż,  
by nie rozproszyć się na cały wszechświat,  
najdalsze jak wspomaga czasem: we mnie.

## REQUIEM

za Wolfa hrabiego von Kalckreuth.

Zaprawdę, nie widziałem ciebie nigdyż? Serce  
tak mam ciężarne tobą, jak przez nadto  
ciężki początek, który się odracza. Niechbym  
rozpoczął ciebie, umarły, wymawiać, ty, coś  
umarły jest; ty chętnie, ty namiętnie  
umarły. Byłoż to ci taką ulgą,  
jakeś osądził, albo zali jednak  
to już-nie-życie wciąż dalekie jeszcze  
od umarłości było? Tyś przypuszczał,  
że tam prawdziwiej posiłdziesz, własności  
gdzie nikt nie ceni. Zdało ci się: w dali  
tamtej od wewnątrz wsunuty będziesz w pejzaż,  
co tu przed tobą kroczył wciąż, jak obraz,  
i w ukochaną przenikniesz od wnętrza,  
przejdiesz przez wszystko, silny i skrzydlaty!  
Och, obyś teraz twych lat pacholących  
pomyłki nadto długo nie wetował.  
Obyś, rozplynnion na prądach żalości,  
porwany przez nie i wpół tylko świadom,  
w ruchu okrężnym wokół gwiazd dalekich  
odnalazł radość, którąś stąd przełożył  
w umarłość twoich snów. Jakże blisko, miły,  
byłeś jej tutaj. Jak zadowioną  
była ta, którąś mniemał: twej tęsknoty srogiej  
poważna radość. Gdyś zarówno szczęściem,  
jak i niedolą gdy rozczarowany,  
ryłeś się w siebie i kiedyś z przejrzeniem  
mozolnie wracał, pod uciskiem niemal  
skruszon ciemnego twego znaleziska:  
wtedyś ty dźwigał ją, nierozpoznaną,  
radość: drobnego twego Zbawiciela  
brzemień przez krew dźwigałeś i ponad nią.

Czemuś nie czekał, aż ciężkość się stanie  
niedozniesienia: wtedy się przemienia,  
i tak jest ciężka, gdyż tak jest prawdziwa.  
Widzisz, to może twa najbliższa chwila  
była; we włosach wieniec układała  
może przed drzwiami, kiedyś ty je zawarł.

O, huk ten, jakżeż przenika on wszechświat,  
gdy kędyś ostry twardy niecierpliwy  
przeciąg na rygiel zatrząskuje zamek.  
Któż zaprzysięgnie, że zdrowe nasiona  
nie popękają przezeń wgłębi ziemi;  
któż zbadał, czy w zwierzętach oswojonych  
rozkosz zabicia nie zadrga lubieżnie,  
gdy to szarpnięcie w mózg im padnie blaskiem  
błyskawicowym? Któżże wpływ rozezna,  
co z działań naszych przeskakuje w ostrze  
bliskie, i któżże zdołałby nareszcie  
wieść go do końca, kiedy wszystko wiedzie?

To, żeś ty zburzył. Że po koniec czasów  
to jedno trzeba będzie rzec o tobie.  
A, jeśli zrodzić się będzie bohater  
miał, co znaczenie, które my przyjmujem  
za rzeczy samych oblicze, jak larwę,  
zdrze i kiedy on to, oszalały,  
oblicza nam odkryje, których oczy  
znieruchomiałe zdawna są wpatrzone  
w nas poprzez szpary, dotąd maskowane;  
to jest obliczem raz na zawsze, nigdy  
się nie przemieni; żeś zburzył. Tu spoczywały  
głazy, a na powietrzu wokół nich już rytm ten,  
ledwo wstrzymany, drgał przyszłej budowli;  
błądziłeś wokół, ale ich porządku  
nie postrzegałeś, każdy ci przesłaniał

następny; każdy zdał się wkorzeniony,  
kiedyś, przechodząc, próbował nieufnie,  
czy nie podejmiesz go. I wszystkieś podjął  
w twojej desperacji, ale tylko poto,  
by je napowrót zawalić w zięjący  
ów kamieniołom, w który już nie wejdą  
twym sercem rozszerzone. Gdyby jaka  
kobieta lekką dłoń na twego gniewu  
tak wątły jeszcze początek złożyła;  
gdybyż ktoś, wielce zajęty, w najgłębszym  
zajęty wnętrzu swoim, gdyby ciebie  
bez słowa spotkał, gdy niemy wyszedłś  
w świat czyn ów spełnić; -- gdyby choćby ścieżka  
twoja mimo wiodła wpobliżu warsztatu  
czujnego, gdzie mężczyźni kują, gdzie z prostotą  
urzeczywistnia się dzień; gdyby w twym wejrzeniu,  
po brzegi wypełnionem, choćby tyle  
przestrzeni pozostało, iż odbicie  
żuka, co się mozoli, wejść weń mogło:  
nagle, ujrzawszy jasno, przeczytałbyś  
pismo, którego znaki od dzieciństwa  
powoli rytowałeś w sobie, próbujący,  
czy jakie zdanie od czasu do czasu  
samo nie złoży się, ach, niedorzeczne  
zdało się tobie. Wiem; o, wiem; leżałeś  
przed nim i palce zdzierasz o brzozy,  
jak poomacku wyczuwa się napis  
na płycie grobu. Co ci się zdawało,  
iż płonie jarko, dzierżyłeś, jak żagiew,  
przed owym wierszem; ale płomień gasł,  
zanim pojałeś, być może oddechem  
stłumiony, może dygotem twojej dłoni;  
a może z siebie sam, jak to płomienie  
niekiedy gasną. Nigdyś nie przeczytał.  
My się zaś czytać już nie ośmielamy

z oddali nadto wielkiej, przez ból wszystek.  
Tylko się wierszom tym przypatrujemy,  
co słowa twe unoszą dobierane  
wdół, z prądem twego czucia zawsze jeszcze.  
Nie, nie wybrałeś wszystkich; często bowiem  
powierzon ci był początek, jakgdyby  
gotowa całość, której zawierzałeś,  
jak powołaniu. I zdał ci się smutny.  
Ach, obyś nigdy był go nie usłyszał.  
Anioł twój zawsze jeszcze woła głośno  
i tekst ten sam inaczej akcentuje,  
a we mnie radość bezmierna wybucha,  
gdy słyszę, jak on wymawia: nad tobą  
zachwył: albowiem to własnością twoją  
było jedyną: iż kochania godne  
wszystko od ciebie znowu odpadało,  
iż wyrzeczenie pojąłeś w nauce  
długiej widzenia, a w śmierci twój postępn.  
To jeno twojem było, ty, artysto;  
te trzy rozwarte formy. Oto odlew,  
o, spójrz, tej pierwszej: obszar wokół twego  
uczucia; z drugiej tej oto wykuję  
patrzenie, które nie już nie pożąda,  
wielkiego wzrok artysty; a zaś w trzeciej,  
którą przedwcześnie sam pogruchotałeś,  
gdy w nią pokarmu ledwo pierwszy drżący  
z rozpalonego do białości serca  
haust wnikał, — śmierć starannie wykończona  
była, głębokim ukształcona dółtem,  
śmierć własna, której tak bardzo nas trzeba,  
gdyż my ją żyjemy, a której przenigdzie  
tak blisko nie jesteśmy, jako tutaj.

To wszystko było twym dobytkiem oraz  
przyjaźnią twoją; częstoś to przeczuwał;



lecz potem próżnia form cię tych strwożyła,  
sięgnąłeś w nie i zaczerpnąłeś pustkę  
i wzniosłeś skargę. — O, dawne przekleństwo  
poetów, co się skarżą, miast wymawiać,  
co sąd sprawują nad swoim uczuciem  
wtedy, gdy winni je kształtować, którzy  
wciąż jeszcze myślą, iż to, co w nich smutne,  
albo radosne, znają: że im wolno  
żalić się nad tem w wierszu lub je sławić.  
I używają mowy tak, jak chorzy,  
utyskujący, aby opisywać,  
gdzie też ich boli, zamiast się przemienić  
twardo w wyrazy, jak się przeobraża  
kamieniarz w głazu obojętność, kiedy,  
zawzięty, ciosa sklepienie katedry.  
To był ratunek. Gdybyś choć raz jeden  
ujrzał, jak los przenika w strofy, stamtąd  
już nie powraca, jak się wewnątrz staje  
obrazem, tylko obrazem, podobnie,  
jak przodek, który, gdy wzniesiesz niekiedy  
źrenice, w ramach zda ci się ten samy,  
to znowu inny —: byłbyś wytrwał.

Jednak

jest małostkowe to, co się nie stało,  
myśleć. A także jest pozór wyrzutu  
w tem porównaniu, co cię nie dotyczy.  
To, co się dzieje, tak bardzo wyprzedza  
mniemanie o niem, że go nie dogonim  
nigdy, nie pojmiem, jako wyglądało  
w rzeczywistości przenigdy.

O, nie bądź  
zawstydzon, kiedy cię muskać umarli  
będą, ci zmarli inni, którzy aż do końca  
wytrwali. (Cóżże znaczy słowo koniec?).



Spokojnie wymień, jak jest we zwyczaju,  
spojrzenie z nimi, wcale się nie lękaj,  
iż żal za tobą nasz tak cię obarczy  
dziwnie, że spojrzą zanadto uważnie.  
Z tych czasów wielkie słowa, gdy zdarzenia  
widzialne jeszcze były, nie są dla nas.  
Któż o zwycięstwie rzekł? Przetrwać jest wszystkim.



ALBRECHT SCHAEFFER



## WZDŁUŻ TELEGRAFÓW

Czy pomnisz wieczór ów? Piaszczystą drogę szarą  
Obok wzgórz mroczno-zielonych, opodal łągi i kwiaty żółte,  
I skrajem łąk głębokich, nad chłodnem zwierciadłem  
Grzaskiego morza w odpływie, gdzie fala fali nie goni  
Aż pod niebiosą — — Pomnisz ów wieczór?

Na gołych drogach stały wpodłuż drogi  
Akordy w szumie wspaniałe, zwisając  
Na skrzydłach wielkich. Brzmiały uroczyście  
I słodko owej godziny, gdy widne  
Złoto okapywało z kopuły eteru, —  
Ciemno, to znowu jaśniej brzęcząc, jak muzyka. —  
A tyś wyrzekła, spojrzenie wzdłuż brzegu  
Śląc, kędy linja łądów oddalonych  
Błogo w ocean zapadała zmierzchu:  
Oto je widzę; oto są niebiańscy.  
Smutne demony, wiem, z strasznych miast ludzkich  
Wrzeszczą przez drutów tych hałas splątany.  
Nie czują. Znają tylko trójkę świętą  
Struny i drewna i wichru, brzmia słodko.  
Widzę po drodze je naszej; i stoją  
Rozliczni, ów płomienny, tamten mroczny,  
Z ciemieniem wspartem o kark, dysząc całem  
Obliczem, niebios powietrze wdychając,  
Które łagodnie się sący, palcami  
Igrając, czysto i niedbale. — Będą  
Stać pod gwiazdami, kiedy my uśniemy.  
Wielu jest bogów; ale zdawierendawna,

Pragnąc oślepiac nas, lękiem przeszywać,  
I za plecami naszemi się kryjąc,  
W dreszczu nam rąbek uchylają bytu  
Przesłoniętego, tłoczac wielkość w piersi.  
Nie zwracaj oczu! Mógłbyś je rozpętać.  
Do szmeru serca mego przybliź ucho,  
Tam ich posłyszysz znów.

Czy wspomnisz wieczór ów? — Oto jest jesień.  
Wiele gorzkości wargę ścina. Skąpe  
Są dnie, gryząco długie noce. Twarz twą  
Surową wdali oglądam; tak trzeba.  
Przesącza czas się; stąpamy poważniej,  
Układnie, jak się godzi, wspominając  
Dnie, jako jabłka złote, i mówimy:  
My wędrujemy; wokół nas bogowie  
Stoją, na harfach pięknie grając starych.

RYSZARD VON SCHAUKAL





## DO NIEGO

Uchodząc weń jak rzeki,  
Czyj gest koło zakresli?  
Kto Cię powie, daleki,  
Z własnej wynikły myśli?

Ponad sunące czasy  
Który usypiasz w chwale,  
Szat zmierzchowe atłasy  
Rąbkiem muskają fale.

Dnie i ponocne cienie  
Ku gwiazdom któż przebudzi?  
Blaknięcie i kwitnienie:  
Ach! sny samotnych ludzi.



WILHELM VON SCHOLZ



## WĘDROWNIK

Jesienny spokój dławi,  
samotność mierzy krok.  
Szarawy sunie mrok  
po zgasłej, po murawie.

Znów się przetwarzam w was  
głęboko, skryte stwory,  
w stąpania poprzez bory,  
w szemrzący liściem las.

Przez bezcienisty stok,  
zmierzchową długą drogą,  
gdziem zdobył wielkość srogą,  
śladem powraca krok.

Żem ja wędrowiec ów,  
co kroczył drogą białą,  
jest słowem, co przebrzmiało  
w kurzawie pustych słów.



KARL SPITTELER





## K R Ó L J E N O

Cornelius Clemens orzekł: „Ustanawiam,  
by każdy z niewolników taką pracę,  
do której przywykł, pełnił; jaką zechce.  
To płodne jeno, co się czyni chętnie.  
Tylko w połowie sobą ten, kto błądzi.  
Partaczem garncarz jest, gdy piele ogród“.

I tak zdarzyło się raz, kiedy okiem  
bacznem rozglądał się po swej zagrodzie,  
że niewolnika postrzegł, który w drwinach  
ciżby wrzaskliwej przy drodze kucnąwszy,  
bezzradnie i niezgrabnie ciężkim młotem  
kuł, rozbijając do krwi własne palce.

Brew namarszczywszy, z wymówką w źrenicy  
i wargi zwałszy, odwrócił się konsul.  
A majordomus odparł: „Wielki Panie,  
wybaczcie! Wszelkie zwierzyłem rzemiosło  
od tkactwa aż do bicia klepek. Hultaj  
w każdej robocie równym jest gamoniem!“

Tedy, na wodzy gniew dzierżąc przemocą,  
Cornelius Clemens wzrok wlepił w nieroba  
i pytał: „Powiedz, człeczce, czemuś byłeś  
w ojczyźnie? Jakiż twój zawód i praca?“  
Oblicze, zżarte posępną zgryzotą  
Rab uniósł z pychą: „Panie, jeno królem!“

Ów zamilkł, wielką litością przejęty,  
I ważył w myślach mroczny los człowieka,  
Poczem do sług łaskawie: „Tego zabić!”

## O J C I E C

Umknąłem we śnie ze zgrają junaków,  
zdecydowanych na wszystko, za światy.  
Dotarliśmy, gdzie trzeba, nocą mroczną.  
Jedni z palcami na cynglu trzymali  
u wrót cmentarnych wartę. Reszta pocztu  
z dłonią na cuglach. Ku mogile ojca  
w serca łomocie cicho się zakradłem  
i, tłumiąc oddech, odwalałem skiby,  
błyskiem łopaty ryjąc się w czeluście  
bczdenne. Próżno wtedy wielkim głosem  
wołałem, waląc się o ziemi: „Mój ojczu,  
to ja! Wysłuchaj! Na koń! I z kopyta!”

I oto stanął pobok mnie. Cielesny  
tak dotykalnie, jakgdyby nie umarł,  
tylko znużony nieco. Wpijał palce  
w ramiona moje; źrenice zawarte  
i coś, jak w zmorze, bełkotał językiem.  
Uniosłem go na siodło. Już z galopa  
ruszamy, radość piersi mi rozpiera,  
gadam i śmieję się, krztusząc, o wszystkim  
prawie, co stało się od owych czasów,  
o żniwach oraz o wojaczce. Wesół  
z uśmiechem, skinął razporaz mi głową.

Ale znienacka zachwiał się w kulbace  
i drży, zapada ciało, już bezwolnie  
dłonie szukają wsparcia, siwa broda,

na wiatrach postrzępiona, się kołysze.  
A potem, szepcąc, głosem głucho brzmiącym:  
„To ciężar jednak nad siły. Daj usnąć“.

I podczas, gdy go dźwigałem z rumaka,  
nagle dojrzałem, że wielka mu rana,  
koszulą przesłonięta, pierś zżerała  
potężną. Wszystko w nim było od wnętrza  
drażnione, jakby sklecony był z skóry,  
wyzbytej waru krwi, mięsa i kości.

Ach, pojąć, że go nie ocalę nigdy.



GEORG TRAKL



## DZIECIŃSTWO

Krzewy bzowe w jagodach; cicho dzieciństwo mieszkało  
W grocie niebieskiej. Ponad ścieżką minioną,  
Gdzie oto brunatnie szemrzą trawy zdziczałe,  
Gałęzie dumają spokojnie; i kruchych liści poszum.

Jednaki, gdy woda modra o skały uderza.  
Łagodna skarga jest wilgi. Pasterz  
Bez słowa stąpa ku słońcu, co z wzgórz jesiennych się stacza.  
Jeno chwilą ulotną jesteś, dziwna duszo.  
Z lasu wyrzwała łania płocha, sennie  
Pradawne dzwony u dna spoczywają  
I tafle jezior mrocznych.

Ciemnych lat mijanie pojąłeś pokorniej,  
Chłody i jesień w osamotnionych pokojach,  
I przez dale niebiańskie przezrocze dzwonią stąpania.

Szyba rozchylona ledwo zabrzęczy; do szlochu  
Wzrusza widok mogiłki zapadłej na wzgórzu,  
Wspomnienie baśni gwarzonych; niekiedy rozwidnia się dusza,  
Ludzi wspominając radosnych, wiosny zielono-złote.

## ZMIERZCH PONAD ŚWIATEM

Na ciszy spotkanie płochu u skraju kniei  
Mroczna łania;  
Na wzgórzu wstrzymany lekko wietrzyk wieczorny,

Szloch rozżalony milknie wywilgi,  
I łagodne ligawki jesieni  
Zgłuchły w wiklinach.

Na żałobnym obłoku  
Suniesz, pjany sokiem makowym,  
Po jezior nocnym bulgocie,

Widnokręgiem gwiazdzistym.  
Rozbrzmiewa siostry księżycowy pogłos  
Nad światem, północą.

## G R Ó D E K

Bory jesienne zmierzchem pobrzmiewają  
zabójczym szczękiem oręża, parowy  
złocone, modre jeziora, posępnie  
nad nimi toczy się słońce; noc chwyta  
w zwarte ramiona wojaków, śmiertelnie  
w pierś ugodzonych, i okropną skargę  
ich przełamanych ust.  
Lecz ścicha w nieckę wieczoru nabiera  
łaka rumianość obłoków, gdzie mieszka  
bóg rozsrożony pod namiotem, krew  
rozlaną zwolna w mrok przesącza, chłody  
księżycy w misę cynową przelewa.  
Gościńce czarne uchodzą w żałobność  
zgnilą pod złotą siatką widnych gwiazd.  
Cień rozżalony włóczy się przez półmrok  
ogłuchłych gajów, by koić herojów  
i tulić w palcach ich rozbity czerep.  
W wiklinie jęczy ciemny flet jesieni.  
O, dumac ścięcie warg! Głodzone stopnie,  
jak głązy chmurne, ów płomień wzburzony,



gniew, który spała oddech, kości wieri  
ból: o wnuków jeszcze niezrodzonych.

## JESIEŃ SAMOTNYCH

W rumieńcach, z koszem, u progu przystanie,  
Gdy smuga wraca wyblakłej pogody,  
Przez lazur widny na zawiędłym łąnie  
Przepiórek szczebiot rozgniata jagody.  
Wśród nagich szczepów winnych na pytanie  
Ciemne znów gada sennie mgła znad wody.

Krzyże szerniały tu i tam na wzgórzu.  
W czerwonym borze zabłąkane stado.  
Jeziora leśne tumanem się chmurzą.  
Pastuch pogania gnuśnie krów gromadą.  
Skrzydło zmierzchowe muska, jak przed burzą,  
Wyschłą ze słomy strzechę, glebę śniadą.

Wkrótce kochankom blask gwieźdnego woza  
W izbach łagodniej bólem zmaci oczy.  
Już z ram okiennych błogo sunie, spoza  
Rzęs zapatrzonych modry Anioł kroczy.  
Chrzęści wiklina; znów koścista groza  
Z wierzb gołych kapie kroplami w pomroczy.



KARL VOLLMOELLER



## O R E S T E J A

Zamilkła wargo, o jedyny druhu,  
Bracie skrawionych mórz i złotych plaż,  
Messeńskich krzewów szum drga w twojem uchu,  
A nocą szlochasz jeszcze? — trwasz,

Jak ongi w płaczu, u świętego skraju  
Czeluści, w niskich błyskawic rozblasku?  
Czy słyszysz bełkot wód u dna ruczaju?  
Wspominasz wielki dzień ów w bogów gaju,  
Poranek, kiedy wychodzących z lasku

Witała góra lśniąca, szaro-krwawa,  
W starej cysternie odbite południe,  
Świątynie zmierzchu martwe, gdy kurzawa  
Niebiesko malowała czarną studnię,

A to nam było wszelkiej winy skruchą?  
O, gdzie jest przystań w malachitu pianach,  
Głębokie morze, biała łódź, mój druhu?  
Tyś ziemi dotknął wonczas na kolanach,

Pocieszon szmerem twych ojczystych rzek.  
Lecz ja odczułem w ołowianym kręgu  
Tyranję rzeczy bezdusznych, ów brzeg  
Wyszczerzył ku mnie łańcuch ostrych zębów,

Triumfowały podstępne maszyny,  
Ich zgniły oddech zalał przestwór ten,

Jako żelazo srogi i jak szyny  
Splątany, życie przemieniając w sen

Chłodny, jak Turyn w śniegu, w świetle lamp.  
— Czyż z świata młotów, szkieł bladych i stali  
Raz jeszcze dźwignę się do widnych ramp  
Zamku wzniosłego? Zabrzmi li na fali

Bóstwa głos gromki z murów poświęcanych:  
Który nas dźga jak dziryt, chwytą w moc  
Bardziej niż chusty żalu, jęk wygnanych...  
Powiedz, dygocesz jeszcze, rozsłochany,

Lub jest to mroczna noc? Jestże już noc?

ARNIM T. WEGNER





## GRODY PRZYPADKU

Nawałnic druh, bielony przez obłoki,  
Przestworu lustro, na wichurach puchu,  
Z rzek cudzoziemskich dźwigasz się, głęboki,  
Przypadku gród, kwiat głazu, piany, duchów.

W zgrzybiałych mórz spotykam ciebie dymie,  
Nad Donem piętrzysz się, Gangesem, Nilem,  
Gdziekolwiek zbłądę, powróci twe imię,  
Z zarazą, wiosną i skrzydłem motylem.

Gorączką jesteś, dygotem podróży,  
I czekasz na mnie o mroku północy.  
Na dachach starcy przyzywają burzy  
I wrzaski kobiet tłuką w bramy nocy.

Jak kałdun bóstwa, wciąż go karmią trupy,  
Ciżba, gdy zbliża się, w trwodze przyklęka;  
Piersi z bananów, na oczach skorupy,  
Gliniany czerep, a w źrenicach męka.

Pępku z rubinu! Niechaj runą cuda!  
Z wieczora w gwiazdy aż do jutrzni bladłem,  
By zerwać rzemień z lędźwi. Wonna złuda  
Bazarów! Hjeny tam się tuczą padłem.

Lecz zanim morze w zorzy się zieleni,  
Z żwiru, co trzeszczy, zagrabione zwierzę  
Dosiadę, ujdę ku modrej przestrzeni,

Szukając siebie, gdy w siebie nie wierzę.

Aż kiedyś padnę poprzez plejad oka  
W czas. W krwi pradawnej szczęścia nic nie zbudzi.  
Spójrz, miłość światem gnała mnie głęboka  
I wraca ziemia, morderczyni ludzi.

NOTY BIBLIOGRAFICZNE



# B I B L J O G R A F J A

FERDINAND AVENARIUS, ur. w r. 1856 zm. 1923  
„Wędrówka i budowa“ — 1897, „Głosy i obrazy“ — 1897.

GOTTFRIED BENN, ur. 1886, doktor medycyny i filozofji.  
Członek Pruskiej Akademji Umiejętności. „Morgue“, „Gruzy“,  
„Mięso“, „Współczesne ja“. — Proza. Studja.

RUDOLF G. BINDING, ur. 1867, „Nowe wiersze“, „Duma  
i żałoba“, „Wskazówki jazdy konnej dla kochanki“. Nowele.  
Autobiografia. Przemówienia i szkice.

HANS CAROSSA, ur. 1878, „Ucieczka“, „Wiersze“. Po-  
wieści, nowele, pamiętniki.

MAXIMILIAN DAUTHENDEY, ur. 1867, zm. 1918 na  
Jawie. „Relikwie“ — 1900, „Księga piosenek“ — 1907, „Pieśni  
w listowiu“ — 1908, „Biały sen“ — 1909, „Wirydarz“ — 1909,  
„Widmo świata“ — 1910, „Wielkiej wojny fraszunek“ — 1915.  
Powieści, nowele, dramaty, podróże.

THEODOR DÄUBLER, ur. 1876, „Dziecię gwiazd“, „Łuna  
polarna“, „Hesperje“, „Hymn do Italji“, „Srebrzystym sierpem“.  
Podróże, nowele, studja.

STEFAN GEORGE, ur. 1868 zm. 1932, „Pisma zbiorowe“,  
kilkanaście tomów.

JULIUS HART, ur. 1859 zm. po wojnie, „Sensara“ — 1879,  
„Homo sum“ — 1890, „Tęsknota“ — 1893, „Triumf życia“ — 1899,  
„Głosy nocy“ — 1899.

FRIEDRICH HEBBEL, (1813—1863). „Wiersze“. Dramaty,  
nowele, pamiętniki.

HERMANN HESSE, ur. 1877, „Pieśni romantyczne“—1898, „Wiersze“ — 1903, „Po drodze“ — 1912, „Muzyka samotnego“ — 1915, „Wybór wierszy“. — Powieści, nowele, studia.

HUGO V. HOFMANNSTHAL, ur. 1874, zm. 1929. „Zebra-  
ne wiersze“. Dramaty, proza, studia.

FRIEDRICH HÖLDERLIN (1770 — 1843). Ostatnie trzy-  
dzieści lat przeżył w obłądnie. Hymny, ody, poezje—„Hiperion“  
(powieść), „Śmierć Empedoklesa“ (fragment dramatyczny).

HERMAN KASACK ur. 1896. Poezje: „Człowiek“ —1918,  
„Wyspa“ — 1920, i in. Opowiadania i dramaty.

ELSE LASKER-SCHÜLER, ur. 1876, „Kopuła“, „Wiersze“.  
Dramaty, proza.

DETLEV V. LILIENCRON, ur. 1844, zm. 1909. „Wiersze“  
— 1889, „Nowe wiersze“ — 1893, „Wiersze wybrane“ — 1896,  
„Poggfred“ — 1896, „Ballady“ — 1906. Nowele, dramaty.

OTTO ZUR LINDE, ur. 1873. „Wiersze, bajki, szkice“  
—1901, „Fantollini“—1902, „Kula“—1909. Dzieła zbiorowe, 6 t.

OSKAR LOERKE, ur. 1884. „Najdłuższy dzień“, „Muzyka  
paniczna“ — 1929. Powieści, studia.

MAX MELL, ur. 1882, „Rok uwieczniony“ — 1911, „Wier-  
sze“ — 1919. Dramaty.

ALFRED MOMBERT, ur. 1872, członek Pruskiej Akademii  
Umiejętności. „Dzień i noc“ — 1894, „Płonący“—1896, „Stwo-  
rzenie“ — 1897, „Myśliciel“ — 1901, „Kwiecie chaosu“—1905,  
„Duch słoneczny“ — 1905, „Niebiański pijak“—1909, „Bohater  
ziemi“ — 1919. Dramaty.

RUDOLF PANNWITZ, ur. 1881, „Kosmos Atheos“,  
„Hymny“. Studja, dzieła filozoficzne.

ALFONS PAQUET, ur. 1881. „Śpiewy i pieśni“ — 1902, „Na ziemi“ — 1906, „Bohater bezimienny“ — 1912, „Limo“ — 1913, „Sztandary“ — 1922, „Trzy ballady“ — 1924. Powieści, podróże, studja, pamiątki.

AUGUST V. PLATEN, (1796 — 1835), Ody, hymny, gazy, liryki. Dramaty i komedje.

RAINER MARIA RILKE, ur. 1875, zm. 1926. „Życie i pieśni“ — 1894, „Ofiary Larom“ — 1896, „Snem koronowanie“ — 1897, „Adwent“ — 1898, „Sobie, nie Muzom“ — 1899, „Wczesne wiersze“ — 1909, „Księga obrazów“ — 1902, „Godzinki“ — 1906, „Wiersze nowe“ — 1907, „Nowych wierszy część inna“ — 1908, „Requiem“ — 1909, „Życie Marji“ — 1913, „Sonety do Orfeusza“ — 1923, „Elegje duinezyjskie“ — 1923, „Wiersze pośmiertne“. Nowele, powieść, studja, korespondencja.

Na polski tłumaczyli Rilkego: Witold Hulewicz, Lewin, Napieriski.

ALBRECHT SCHAEFFER, ur. 1885. „Attyckie zmierzchanie“. Powieści, studja.

RICHARD V. SCHAUKAL, ur. 1874. „Poezje“ — 1893, „Wiersze“ — 1896, „Moje ogrody“ — 1897, „Tristia“ — 1898, „Dnie i sny“ — 1899, „Tęsknota“ — 1900, „Pierrot i Kolombina“ — 1902, „Wiersze wybrane“ — 1904, „Księga duszy“ — 1908, „Nowe wiersze“ — 1912, „Wiersze dziecinne“ — 1914, „Sonety“ — 1915, „Pieśni wojenne“ — 1914-16, „Pamięci cesarza Franciszka Józefa“ — 1916, „Dedykacje“ — 1917, „Ojczyzna duszy“ — 1917, „Pierścienie lat“ — 1922. Nowele, studja, proza.

WILHELM V. SCHOLZ, ur. 1874. „Wiosenna wyprawa“ — 1896, „Wysokie dźwięki“ — 1898, „Zwierciadło“ — 1902, „Nowe wiersze“ — 1913, „Domy“ — 1923. Dramaty, nowele, powieści, studja.

KARL SPITTELER, ur. 1845, zm. 1924. „Extramundana“ — 1883, „Motyle“ — 1889, „Literackie opowieści“ — 1892, „Ballady“ — 1896, „Wiosna olimpijska“ (1900 — 04), „Pieśni dzwonu“ — 1906. Epos prozaiczne, powieści, nowele, studja. Laureat Nobla.

GEORG TRAKL, ur. 1887, zm. 1914. „Wiersze“, „Sebastian we śnie“, „Jesień samotnych“.

KARL VOLLMOELLER, ur. 1878. „Parsefal“, „Wczesne ogrody“ — 1903, „Księga krajobrazów“ — 1904. Dramaty, przekłady tragików greckich.

ARMIN T. WEGNER, ur. 1886. „Między dwoma miastami“, „Oblicza miast“. Nowele, powieści, podróże.



S P I S   R Z E C Z Y



# S P I S R Z E C Z Y

## FERDINAND AVENARIUS

Noc była . . . . . str. 7

## GOTTFRIED BENN

Pieśń . . . . . „ 11  
 Strugi godzin . . . . . „ 11  
 Dopiero gdy . . . . . „ 12  
 Ku gwiazdom patrz . . . . . „ 13  
 I tobie . . . . . „ 14

## RUDOLF G. BINDING

Gaśnięcie . . . . . „ 17  
 Lśnienie jesienne . . . . . „ 17  
 Łuk miłości . . . . . „ 18  
 Sen . . . . . „ 19

## HANS CAROSSA

Stara studzienka . . . . . „ 23  
 Pramatka . . . . . „ 23

## MAX DAUTHENDEY

\* \* (W moje oczy -- popiół prószy...) . . . „ 29  
 \* \* (Patrzałem w ogród...) . . . „ 29  
 \* \* (Oczarowały noce letnie...) . . . „ 29  
 \* \* (Czerw drzewa zwiędłe toczy...) . . . „ 30

## THEODOR DÄUBLER

Sekret . . . . . „ 33

## STEFAN GEORGE

* * *	(Łaskawi jako książęta...)	str. 37
* * *	(Duch twój, gdy dzisiaj w rok owy się chyli...)	37
* * *	(Miłość godnym nie nazwie...)	„ 38
Rocznica		„ 39
Lutnista		„ 39
Porta nigra		„ 39

## JULIUS HART

* * *	(Lśniaco w luny się kołyszę...)	„ 43
-------	---------------------------------	------

## FRYDERYK HEBBEL

Wawrzyn wokół czoła		„ 47
Wieczór		„ 47
Sen		„ 47
Do człowieka		„ 47
Zagadki Boga		„ 47
Sen jako prorok		„ 48
Poezja form		„ 48
Przed płótnem Rembrandta		„ 48
Obrona poezji		„ 48
Do tragika		„ 48
Ku pamięci		„ 49
Życzenie daremne		„ 49

## MAX HERMANN-NEISSE

Piosenka z wieczora		„ 53
Przedmioty		„ 53

## HERMAN HESSE

Wyznanie		„ 57
----------	--	------

## HUGO V. HOFMANNSTHAL

Są napewno...		„ 61
Przeżycie		„ 62

Przedświt . . . . .	str. 63
Przesłanie . . . . .	„ 64
In memoriam Böclina . . . . .	„ 65
In memoriam trzech wielkich aktorów . . . . .	„ 67

## FRYDERYK HÖLDERLIN

Połowa życia . . . . .	„ 77
Fragment . . . . .	„ 77
Żrałe są w ogniu nurzane... . . . .	„ 78
Pamiętka . . . . .	„ 78
Patmos . . . . .	„ 80

## HERMAN KASACK

Liść na wietrze . . . . .	„ 91
---------------------------	------

## ELSE LASKER-SCHÜLER

Jakób . . . . .	„ 95
Faraon i Józef . . . . .	„ 95
Pojednanie . . . . .	„ 96

## DETLEV VON LILIENCRON

W mieście wielkiem . . . . .	„ 101
Marcowy dzień . . . . .	„ 101
Piękne dni czerwca . . . . .	„ 102
Dreszcz Acherontu . . . . .	„ 103
Pieta . . . . .	„ 103
Nuda . . . . .	„ 104

## OTTO ZUR LINDE

Krzewom nad moją drogą . . . . .	„ 111
Dusza moja tęsknicą . . . . .	„ 112
Skarga . . . . .	„ 113
Idź cicho twą drogą... . . . .	„ 114

## OSKAR LOERKE

Nocą letnią . . . . .	„ 117
-----------------------	-------

Strumień . . . . .	str. 118
--------------------	----------

### MAX MELL

Zapatrzenie . . . . .	„ 121
Miasto na wzgórzu . . . . .	„ 121
Winobranie . . . . .	„ 122

### ALFRED MOMBERT

* * (Śpiącego ponieśli...) . . . . .	„ 127
* * (Oto wierchołek...) . . . . .	„ 127
* * (Kiedy zbudziłem się, dyszało morze...) . . . . .	„ 127
U mrocznych skrajów pięknego ogrodu . . . . .	„ 128
* * (Gdyby mnie dotknął śnieg...) . . . . .	„ 129
* * (O, w czółnach leżąc....) . . . . .	„ 130
* * (Jest wszystko tutaj...) . . . . .	„ 130

### RUDOLF PANNWITZ

Ojciec . . . . .	„ 135
------------------	-------

### ALFONS PAQUET

Zadumanie . . . . .	„ 139
Białe księżyc . . . . .	„ 140

### AUGUST VON PLATEN

Pożegnanie Rzymu . . . . .	„ 143
W noc noworoczną . . . . .	„ 147
Ody	
III. Piramida Cestjusza . . . . .	„ 148
IV. . . . .	„ 149
VII. . . . .	„ 150
XXI. Skarga zerwana . . . . .	„ 150
XXVII. . . . .	„ 151

### RAINER MARIA RILKE

Requiem za przyjaciółkę . . . . .	„ 155
Requiem za Wolfa hr. v. Kalckreuth . . . . .	„ 164

# ALBRECHT SCHAEFFER

Wzdłuż telegrafów . . . . . str. 173

# RYSZARD VON SCHAUKAL

Do niego . . . . . „ 177

# WILHELM VON SCHOLZ

Wędrownik . . . . . „ 181

# KARL SPITTELER

Król jeno . . . . . „ 185

Ojciec . . . . . „ 186

# GEORG TRAKL

Dzieciństwo . . . . . „ 191

Zmierzch ponad światem . . . . . „ 191

Gródek . . . . . „ 192

Jesień samotnych . . . . . „ 193

# KARL VOLLMOELLER

Oresteja . . . . . „ 197

# ARNIM T. WEGNER

Grody przypadku . . . . . „ 201

# ERRATA

Str.	7	w. 16	od góry zam.	zatrząstem	pow.	być	zatrząstem
„	31	„	„	Daubler	„	„	Däubler
„	40	„ 10	od dołu	„ rabby	„	„	rabbi
„	81	„ 1	od góry	„ zpowrotem	„	„	spowrotem
„	82	„ 13	„	„ s.ę	„	„	się
„	83	„ 5	od dołu	„ Promieniające	„	„	Promieniejące
„	101	„ 3	„	„ włóczegi	„	„	włóczęgi
„	112	„ 13	„	„ Trzepoła się	„	„	Trzepota się
„	113	„ 5	„	„ Dudnienie	„	„	Dudnienia
„	122	„ 4	od góry	„ piór,	„	„	piór
„	145	„ 2	„	„ błogosła-	„	„	błogosła-
				wieństwem			wieństwem
„	146	„ 14	od dołu	„ patenopejski!	„	„	partenopejski!
„	156	„ 2	od góry	„ ptzyjaciółko,	„	„	przyjaciółko,

